12 stron

Cena 15 zł

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok IV

Kraków, dnia 2 lutego 1947 r.

Nr 5 (11

ZOFIA NAŁKOWSKA

DROBIAZGI O CZECHOSŁOWACJI

SZAFIROWE DZIEWCZĘTA

W pierwszych dniach października ubiegłego roku znalazłam się w Pradze po całych ośmiu latach niebytności — przybyła na ten raz z innej epoki, z dalekiego brzegu innych losów. Wiele przetoczyło się i przeistoczyło od gorącego tamtego czerwca trzydziestego ósmego roku, od dnia, gdy piękne ogrody hradczańskie zaroiły się ludźmi ze wszystkich stron świata.

Pisarze cudzoziemscy, biorący udział w międzynarodowym kongresie PENClubu zbiegli się wówczas do Czechosłowacji — na to miejsce. najwcześniej zagrożone — jakby wiedzeni chęcią niesienia pomocy. Ton niektórych przemówień pozwalał tak przypuszczać.

Już po upływie czterech miesięcy dobiegł nas przez radio daleki głos Benesza, wzywający ludność do zachowania spokoju i godności. Hitler nastawał na ustąpienie wojsk czeskich z obszaru Sudetów, termin odpowiedzi upływał z dniem pierwszym października.

W pół roku później do Czechosłowacji wkroczyło wojsko niemieckie. Z pomocą nie pospieszył nikt. Na dziedzińcu Hradczan zastępy studentów niemieckich witały Hitlera, który zamek obrał sobie za rezydencję.

Ale tamtych dawnych dni czerwcowych cała Praga tętniła i dźwięczała jeszcze radosnym okrzykiem: „Na zdar!“ Jej ulice, ustrojone w chorągwie i girlandy zieleni, witały swą młodzież napisami: „Byli jsme a budeme!“ i „Ne dame se nikomu a nikdy!“ Dziesiątki tysięcy chłopców i dziewcząt Sokoła zjechały z całego kraju; ich pochody przeciągały miastem, by wziąć udział w święcie swego zlotu, który wyznaczono jednocześnie z kongresem PENClubu. Ten pokaz młodości i siły olśniewał oczy cudzoziemców, gdy zstępowali ku miastu po starych kamiennych schodach zamkowych. Głębokimi łożyskami ulic toczyło się to mnóstwo młodego życia, drgającego rytmem śpiewów i okrzyków, migocącego w słońcu trzepotem rąk. machaniem chusteczek i chorągiewek. Zeszedłszy na dół, rozróżnialiśmy z bliska w tym pochodzie odrębne twarze, rozwarte szeroko usta, gorące oczy, przypominające wyrazem uniesienia Marsyliankę Rude'a.

Uroczystości zlotu. które oglądaliśmy nazajutrz na stadionie, stanowiły niezwykłe widowisko. Zwłaszcza nie dały się zapomnieć szafirowe dziewczęta, każda ze zbożowym wianuszkiem na włosach.

Kilkanaście tysięcy tych dziewcząt — tak jednakowych, jakby to była wielokrotnie pomnożona jedna — wypełniło sobą olbrzymie prostokątne dno stadionu. Najdrobniejszy ruch każdej. przez to, że identyczny i ściśle jednoczesny z wszystkimi — nabierał odmiennego. powszechnego sensu, urastał do nieznanych wymiarów.

Stąpnięcie w prawo lub w lewo, przechylenie się w przód lub w tył. wysunięcie jednej stopy. machnięcie jedną ręką — pomnożone przez tysiące. kołysało i przelewało się tą masą młodego ciała ludzkiego. masą bezosobową, pocentkowaną plamkami świadomości. Chodziły po niej barwy, migotały drżenia, szemrały gesty.

Gdy stały spokojnie, wyglądało to jak zboże. podszyte bławatkami. Ale nagle pochyliły nisko złote głowy — i zamieniły się w nieprzejrzane, kwitnące, niebieskie pole lnu. Wyprostowane obrosły górą w gałązki wyciągniętych rąk, zasnuły się słomianym puchem potrząsanych w powietrzu zdjętych wianków, jakby porosły sierścią. Podzieliły się na pasma i kolumny — i sunęły tysiącami drobnych nóżek, jak olbrzymie złocistoszafirowe gąsienice. które poprzeplatały się ze sobą. zawróciły, pomieszały — i na nowo zlały się w jedno.

Wieczorem pełne ich było znów całe miasto, krzyczące ich gardłami: „Na zdar!“ Świadczące: „Byli jsme a budeme!“

Myślałam o tym w ten ciężki dzień, gdy przyszedł do mnie list z Pragi. „Oby los oszczędził wam tego, co dziś przeżywamy“ — pisała z cudzoziemską poprawnością tamta młoda i piękna dziewczyna, która zaprowadziła mnie w ów dawny dzień czerwcowy na praski stadion.

Stało się inaczej. Przeżyliśmy to i jeszcze wiele więcej.



Zofia Nałkowska w rozmowie z czeskim ministrem informacji Kopeckim

PRAGA PO WOJNIE

Obecna Praga powitała nas równie bogata we wszelkie piękno, jak przed latami dramatu. Poza ruiną paru kamienic w śródmieściu i pożarem pamiątkowego ratusza — którego słynne figurki świętych, obwieszczające mieszkańcom przemijanie godzin, zapamiętałam z najpierwszej mej, jeszcze młodej bytności w Pradze — stolica ta wydaje się naszym zbyt doświadczonym oczom ominięta. poniechana przez wojnę.

Starzy barokowi święci pochylają się z obu stron ponad starszym od siebie, prześlicznym mostem Karola. Posąg świętego Jerzego, kolumna Morowej Zarazy i gruba Fontanna ozdabiają nadal dziedzińce Hradu. „Największa w Europie“ Sala Hiszpańska, cała wibrująca, jakby ruchoma od rzeźb i ornamentów. katedra świętego Wita, jej nawy, jej witraże stare i nowe grobowiec Ślika i ta kaplica — złocona, polichromowana, wysadzana od gory do dołu półszlachetnymi kamieniami, istna jaskinia klejnotów — stoją na swoich miejscach. W skarbcu „autentyczna“ głowa Karola, owinięta „tiulem“... Wszystko w niestrudzonej interpretacji młodego oprowadzającego nas profesora.

Zstępujemy w podziemia zamku Hradczańskiego, by tam wreszcie zobaczyć trochę ruin. Są. Przenikamy w geologiczne warstwy historii, w rozległą, głęboką przestrzeń odkopanych murów i odsłoniętych cmentarzysk. Te piętra podziemne czasu sięgają dziesiątego wieku. Pola płasko leżących, warstwami ułożonych szkieletów nam przypominają raczej teraźniejszość. Z delikatnością uszanowano odosobnienie szkieletów męża, żony i dziecka, spoczywających na boku.

Wiodą nas poprzez ten świat dziejów obmurowane dróżki. wygodne schodki, żelazne poręcze. Powtarzający się co czas jakiś napis: „pozor nie ma na celu obudzić w nas wątpliwości w obiektywną rzeczywistość widzianego, nakazuje jedynie uwagę w miejscach. gdzie należy pochylić głowę lub inaczej mieć się na baczności.

Widok z Zamku na Złotą Pragę widok, od którego naprawdę trudno jest odejść, po dawnemu przetrząśnięty jest mgłą o koronkowym deseniu, której niezmiennie dostarcza perspektywie skrupulatna Wełtawa.

Praga jest nie tylko równie piękna, jak była. Jest ponadto w typie zbiorowego życia, w obyczaju mieszkańców bardziej i zarazem odrębnie nowoczesna — jakby tu ludziom lepiej powiodło się obrócić na swe dobro ciężkie doświadczenie wojny. I ludność całego kraju zdaje się być dziś silniej zjednoczona pamięcią klęski. Chwila wróconej wolności zastała kraj już przygotowany do tego, aby niemal bez wstrząsu i bez wahań obrać najmniej kosztowną najbardziej oszczędzającą materiał ludzki i zasób kultury zastanej, drogę reform ustrojowych.

Zetknięcie się na całej prawie przestrzeni kraju z różnymi odłamami ludności — na szosie, w tramwaju, w sklepie, w fabryce i na ulicy — pozwala wnosić, że tych rzeczy świadomy jest tutaj prawie każdy obywatel. Rzeczywistość co krok potwierdza zgodność tej postawy społeczeństwa, zarówno jak tej postawy praktyczną trafność. Na ulicach żebrak jest rzadkością, nikt tu nie chodzi w łachmanach, a na wyasfaltowanych drogach wiejskich kobiety, nie bacząc na wiek i stan pogody, roztaczają w dni świąteczne cały przepych swej etnograficznej elegancji. „U nas człowiekowi jest dobrze“ — mówił w wagonie przygodny towarzysz podróży. Był prostym człowiekiem i to, że jest mu dobrze, biło w oczy. Doznawał dumy nie tylko z piękności swego kraju, ale z tego zarazem, że kraj ten lepiej od innych umie się rządzić i od nikogo uczyć się tego nie potrzebuje.

Jak wiadomo położenie geograficzne i zwłaszcza okoliczności okupacji uchroniły od ruiny tutejsze wsie i miasta i pozwoliły Czechom ocalić tak wiele skarbów kultury i materialnego dobra, że to bogactwo jest aż oszałamiające. Działa tu jednak czynnik, też może nie mniej stały niż położenie geograficzne i z tym położeniem zapewne związany — zamiłowanie do pokoju, do życia zorganizowanego i jego bezpiecznych powabów. Widoczny już w starej sztuce ludowej smak, wyrabiany przez stulecia, upiększa tu życie codzienne i otacza najczulszą zaiste opieką wszystko. co na to piękno się składa. Nadaje charakter ulicy, czuwa nad witrynami sklepów, określa wygląd ludzi i wnętrza ich domostw. Nie tylko mieszkania kolegów, których odwiedzaliśmy — wysłane są starannym doborem książek, pełne obrazów i rzeźb oraz wytworów wartościowego współczesnego zdobnictwa — kryształów, tkanin, majoliki — ale w każdym niemal pokoju hotelowym, w każdej restauracyjnej sali widzimy obrazy współczesnych malarzy, a nierzadko i rzeźby. Nawet sklepy, a już szczególnie apteki, ozdabiane są obrazami i rzeźbami. W skromnych biurach, nie tylko ministerialnych, w sekretariatach instytucji wydawniczych, w niewielkich księgarniach — wszędzie uderza obecność dzieł malarskich, jako egzemplarze

JULIAN PRZYBOŚ

Z PODRÓŻY

STRBSKE PLESO

Już witając — w pożegnaniu
wyciągnęłaś ramię — jadę
jakbym drogę wzdłuż fal Wagu
za ślad twojej ręki biorąc
niżej
nagiął
— w końcu palców błysnęłoby jezioro,
pierścień gór ze szmaragdem —

Mijasz się — pytając — ze mną
o górę — wyżej gotowa,
o wodę — zieleniej niska,
wołasz —
I moje wspomnienie wywołujesz na zewnątrz:
pierścień błyska
i Strbskě Pleso
faluje od brzegu twoich ust rozchylonych — do słowa.

OBŁOK

Powietrzami ogarniaj, zmieniaj
chmury burzom i chwilom! —
chwilę — przenośną — muśnij...

Patrzę:
z samolotu spuszczam jego cień jak muślin,
widzisz: łany się chylą
pod zwietrzałym ciężarem cienia.

Na burzliwym rozstaju spełniło się — zawiodło
jakby przestrzeń wezbrała płaczem,
ciebie uniósłszy z sobą!

W locie ścigam to co z niego niżej znikło —

Odlatuje ostatni obłok
i nam przychylny i nieboskłonny tylko...

e zawsze najlepszych, ale jednak oryginałach. Gdy wreszcie w ma- j, wiejskiej restauracji naprzeciw- wylotu groty morawskiej, zwa- j nie wiem dlaczego Macochą, zno- u zobaczyłam olejne landszafty, ktoś z miejscowych panów wypo- iedział o nich kompetentne kry- czne uwagi, musiałam uznać, że ostulat „rozprowadzenia" sztuki w połeczeństwie został tu w znacznej ierze wypełniony.

Wstępując w nową erę historii, zesi podjęli swe życie państwowe iejako w tym samym miejscu, gdzie legło zawieszeniu, nie są zmuszeni, ak inne narody, zbyt wiele w sobie rzełamywać. Z zamieszkującą ich amki i pałace obcojęzyczną szlach- ą od dawna już nic ich nie wiąza- o, warstwa ta spłynęła wraz z oku- acją. Nowe formy życia znajdują ę w prostej linii na przedłużeniu endencji demokratycznych, niezni- zczone warsztaty produkcji gotowe ą służyć nowemu porządkowi. Tra- ycje feudalne żyją już tylko w oso- ach dawnej służby pałacowej i re- rutujących się spośród niej „ka- telanów", którzy strzegą starych ortretów i mebli i oprowadzają cie- awych po kolekcjach broni, obra- ów, gobelinów, delftów i wszelkich amiątek, interpretując je i komen- ując wedle swej najlepszej wiedzy.

AUTEM NA PRZEŁAJ

Czechosłowacja, zawarta w tym ednym miesiącu przyspieszonej, dyszanej podróży, ukazała się oczom aszym w przelocie, jak gdyby to na miotała się, spieszyła i mknęła, ie my. Jej ciężkie, stare, wyłado- wane mnóstwem świadectw twór- zości i pracy człowieka miasta, ra- usze, biblioteki i archiwa, jej zam- i, muzea i klasztory, katedry i ryn- i małomiejskie, każdy ze starym omnikiem pośrodku — leciały nam rzez oczy, pomieszane z zardzewiałą zielenią wzgórz, z polami i win- icami, z rzekami i białymi skałami szczytów, sypiąc się, tasując, migo- tając, jakby przeganiane wichurą.

Gdy auta stawały, miasto, rynek, ratusz i zamek nad nimi zatrzymy- wały się także na chwilę, nierucho- miały na nasze przybycie. Nowi lu- dzie witali nas jeszcze raz poważ- nymi, serdecznymi słowami, a naj- epszy spośród nas mówca odpowia- dał z wdzięcznością i nawzajem tłu- maczył, jakie uczucia i zamiary nas sprowadziły.

I zaraz szliśmy salami ratusza o- glądać pociemniałe dokumenty, wy- łożone rzędami w gablotach, zbiory etnograficzne, archiwa, stare obrazy, piękne tkaniny, często oprawne w skóry książki biblioteki. Po czym stromą uliczką między ciekawymi asadami i odrzwiami małych ka- mienic spieszyliśmy ku górze do wydźwigającego się ponad zbrązo- wiałe korony drzew wprost ze ska- y zamku, by po schodach kamien- nych przeniknąć w ułożone piętrami abytki, zbiory, arcydzieła — niby w pokłady zmaterializowanej, unie- ruchomionej historii.

Gdy nastał wieczór, które bądź tych miast wyznaczano nam na no- cleg. Budziliśmy się nazajutrz zdu- mieni, z głową i nogami w innej stronie łóżka niż wczoraj, z umie- szczonym w innej ścianie oknem, z inną poza nim w niebo przenikają- cą wieżą ratusza, inną niewysoko nad dachami zawieszoną makietą zamczyska.

Przywoławszy się do przytomno- ci, wpełzaliśmy pod niskie sufity ut, jak przyzwyczajone do swych or zwierzęta, i siadali w nich nie- ruchomo. A upajający astronomicz- ny kołowrót świata wprzęgał nas na nowo w swoje prawa, ogarniał wym cichym wirowaniem.

Przeniosło nas tak wzgórzami dolinkami od pozłacanej jesieni Czech i Moraw aż po białą zimę łowackich gór. Świecąca szosa o- rębiała stoki górskich lasów, prze- latała się mostami z kamienistą zeką, nawlekała na siebie wieczo- y, poranki i południa, jak tasiem- a. W mroźnym, rzadkim, wzma- ającym ciśnienie powietrzu gór na- tłok doznań zamagazynowanych w amięci rozsadzał mocne kości cza- zki.

Pragnęło się za wszelką cenę — ie już uporządkowania wrażeń, ale o prostu ich umiejscowienia. „W ja- iej to wsi po raz pierwszy wyszły a drogę dziewczęta w brokatowych rynolinach w kwiaty i białych ko- szulkach, trzepocących jak skrzydła?" Albo: „Gdzie to w ratuszu gobeliny okryte były zasłonami, które pociągnięte za sznurek otwierały się, jak firanki okna, na głębinę utkanego z nici krajobrazu?"

Nie wiadomo też zupełnie, gdzie zaczęła się ta „biała pani", nawiedzająca nocą zamki Czech Południowych, na jakiej ścianie wisiał pierwszy jej portret w sukni białej, od której wzięła nazwę i swe pośmiertne przeznaczenie.

Ale raz znaleziona, odnajdowała się już po kolei w różnych zamkach, wszędzie odgrywając tę samą rolę niezadowolonego widziadła, zakłócającego spokojny sen mieszkańcom. Wszędzie też jej niepokój tłumaczono nam w ten sposób, że za życia nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Dobrze, ale kto właściwie jest w małżeństwie szczęśliwy? Gdyby wszyscy w ten sposób chcieli brać odwet za swe małżeńskie niedole, noce bezsenne zagrażałyby całym narodom.

Na szczęście „biała pani" rozwija swą działalność nie tylko nocą. Jeden z oprowadzających nas „kastelanów", pan starszy i obeznany z przedmiotem, powiedział, że w jego zamku też zjawia się „biała pani". „Więc i tu istnieje ta legenda!" — ucieszyłam się kurtuazyjnie. „To wcale nie jest legenda, „biała pani" ukazuje się naprawdę." „O" — powiedziałam niejasno. „Ukazuje się naprawdę — powtórzył z naciskiem. — Mnie samemu ukazała się dwa razy! I to w biały dzień! W samo południe!"

Mniejsza więc o to, gdzie to było. Ważniejsze jest, że w ogóle było i że ją widział dwa razy w biały dzień.

Pamiętam natomiast, gdzie były śpiewające po śmierci ptaszki. Ten dowcip znajduje się, izolowany w szklanym, dużym kloszu, na zamku Konopište, zamienionej w muzeum rezydencji arcyksięcia Ferdynanda. Przepych wnętrza — meble, obrazy, tkaniny — stanowił tło rzewnego romansu małżeńskiego następcy tronu. W jednym z licznych pokojów sypialnych powiększającej się wciąż rodziny widać stojącą na posadzce samotną wannę, osłoniętą dla przyzwoitości parawanem. Ale już tereny łowieckie, widoczne z okien „nieprzejrzane" puszcze, spływające ku dalekim dolinom, całe w brązowym złocie jesiennym, ale olbrzymie kolekcje broni, a szczególnie setki tysięcy rogów, ozdabiających ściany sal, korytarzy i klatek schodowych, dają świadectwo typowi życia, jaki tu panował. Ilość trofeów myśliwskich jest tak niesamowita, że każe myśleć raczej o patologii i sadyzmie niż sporcie. Mundur z plamami krwi i przestrzelony gorset małżonki, rozłożone pod szkłem gabloty, nie są tu w stanie niczego usprawiedliwić. Można by mniemać, że zamach w Sarajewie inspirowany był przez zmowę całych generacji pomordowanych gazel i jeleni. Najbardziej niemoralna jest w tym ta nieprzebrana ilość wolnego czasu, który widocznie, on znów z kolei, w taki tylko sposób dał się „zabijać".

Do tego zespołu zjawisk należą właśnie śpiewające po niewczasie ptaszki. Klosz stał na stoliku pod ścianą w rozległym, ciemnawym salonie. Wśród gęstwy gałązek, wśród zeschłych czy sztucznych kwiatów — za naciśnięciem jakiegoś guzika przez kastelana — zaczyna się coś trzepotać i migotać kolorowo. To mały, wypchany koliber skacze po gałązkach, nad nim w górze drugi też ożywa, oba świegocą, wprędce zaczynają ćwierkać i podfruwać jeszcze na dole dwa. Udają tak wciąż swe nieważne, minione życie, nie bacząc, że nie ma już oczu, które ten szczyt złego smaku i braku wrażliwości mógł radować.

Też nie łatwo da się umiejscowić inna dama, serwowana przez kastelana wyjątkowej klasy, zarówno strojem jak manierami świadczącego o najlepszych pańskich tradycjach. Czas mijający wyniósł tę kobietę do rangi wielokrotnej prababki, choć na portrecie widzimy ją jeszcze jako młodą dziewczynę. Przecież na swą epokę musiała być ostatnim słowem nowoczesności. Ta ograniczyła aktywność swą do jednego zamku, ale upamiętniła się w nim istotnie. Ze swych podróży po Europie zwłóczyła na to miejsce wciąż nowe łupy, wypełniła te mury takim ładunkiem przepychu i skarbów człowieczej twórczości, że u- czuwa się tu ciśnienie wprost fizycznie, jak w składzie amunicji czy w starej prochowni. Przywoziła mistrzów, prymitywy, delfty, stoły i szafy, wysadzane czym się dało (nawet chińskimi talerzami), kobierce, gobeliny (samych Judyt i Holofernesów jest trzy cykle). Kastelan mówi o tym fenomenie z niewątpliwym respektem, ale też z niejakim zakłopotaniem. Zajadłość kolekcjonerska tej kobiety wprowadziła zamieszanie w oba rody, ten, z którego wyszła, i ten, w który weszła. „Trzy generacje płaciły później długi księżny."

Wiele widać szczęśliwych okoliczności i różnorakich czynników złożyło się na to, by ziemia ta stała się arsenałem sztuki. Gdy gdzie indziej obce zabory ogołacały kraj z zabytków, rabowały i wywoziły obrazy, rzeźby, meble, w Czechosłowacji austriackie księżne i madziarskie „grofy", znęcone powabem cudnej przyrody tego kraju, zostawiły po sobie dziesiątki gotowych, dobrze zorganizowanych małych muzeów. Są one dziś wszystkim dostępne, często stają się siedzibą instytucji publicznych, klubów, urzędów państwowych, a nawet własnością związków pisarzy, jak piękny Dobřiš w pobliżu Pragi i Pudmerice w Słowacji, gdzie byliśmy przyjmowani przez czeskich i słowackich kolegów i gdzie każdy z nich może korzystać ze spokoju i ciszy, gdy są mu potrzebne do pisania.

Może nie tak bardzo ryzykuj„ ważąc się mniemać, że zajadła i żądna łupów księżna przypada na zamek Hluboka i że jej długi płacili Schwarzenbergowie. Co do dziewcząt, zwanych tu ładnie „divčata", widzę je po raz pierwszy w mym wspomnieniu raczej w Bzencu niż gdzie indziej — ale od Bzenca były już wszędzie. Ich brokatowe, szerokie jak krynoliny sukienki w tkane kwiaty były raz zielone, raz pomarańczowe, raz różowe. Na głowie miały chustki z białej lub kremowej koronki. Taka sama koronka wychodziła im jak falbana spod spódnicy.

Myśl o piękności morawskiego ludu przenosi nas na ten taneczny festyn, który na pewno odbył się w Strażnicy. Dziewczęta i chłopcy zarówno tańczą w męskich wysokich butach, przytupują nimi i pokrzykują dość cienko: Ojejeje! W rozległej sali zamku przy cygańskiej muzyce odbywało się to jak najbardziej wymyślny balet. Morelowe buchate spódniczki, szmaragdowe serdaki i aksamitne czarne kapelusiki panów miotały się i przewijały w scenach i krokach tanecznych, stwarzając nie zamierzone gry barw. Wiedzieli, że ich podziwiamy, że umyślnie tam przybyliśmy, by ich oglądać. Toteż nie zaniechali żadnej figury, żadnego przepisanego gestu, by tylko dokładnie nam unaocznić całą swą umiejętność.

Gdy wreszcie naładowani pięknem wrażeń i ich natłokiem odchodziliśmy, pożegnawszy gospodarzy i tancerzy, młodzież postanowiła robić nam honory aż do dziedzińca zamku. Po szerokich, stromych schodach kamiennych przez dwa piętra schodzili tak, zwróceni twarzą ku nam, ani na chwilę nie przestając tańczyć. Ich przegięcia i podskoki były jednak staczaniem się w dół i tyłem, wyczuwaniem każdego stopnia n. oślep w tempie zawrotnym. Zdjęci przerażeniem o ich całość, prosiliśmy, by zaprzestali, ale nie dali się przekonać. Towarzyszyli nam przez oba piętra w swych skokach i ukłonach, nie odmawiając sobie żadnego klapnięcia dłonią prawą w lewe udo i odwrotnie, nie zaniechawszy żadnego odstawienia w bok wysmukłej, odzianej w obcisłe sukno nogi, żadnego z wygięć głowy w prawo i w lewo, żadnego ukłonu. Bezradni wobec tej ochoty i stanowczości, zstępowaliśmy ostrożnie w ich taneczne ślady. A oni — barwni, weseli, w pogwizdach i pohukiwaniach radości i respektu, staczali się przed nami w tył i bez ratunku, jakby nie mogli już się zatrzymać, niby przez niezadowolonego Boga z drabiny strąceni oszaleli aniołowie — niewinni, urzeczeni rytmem i swawolą, bezradnie ulegający prawom wdzięku, melodii i młodości.

Zofia Nałkowska

Jean Paul Sartre jako dramaturg

Francuski egzystencjalista Sartre, filozof, powieściopisarz i dramaturg zarazem, wystawił ostatnio dwie sztuki pt. „Zmarli bez grobu" i „Godna szacunku ladacznica". Wywołały one sensację a nawet oburzenie u ludzi, urażonych pewną drastycznością dialogów (tytuł drugiej sztuki) — oraz rzekomą obrazą narodu amerykańskiego.

W trzech bardzo skondensowanych aktach sztuki „Zmarli bez grobu" przedstawia Sartre losy garstki partyzantów, schwytanych i zamordowanych w bestialski sposób przez francuską policję. Na tym tle rozważa autor problem cierpienia psychofizycznego, zagadnienie destrukcyjnego wpływu tortury na jej ofiarę. Bohaterowie Sartre'a nie załamują się pod wpływem fizycznego cierpienia, nie wydają swego przywódcy, który przebywa w ich celi na fałszywych dokumentach. Skazany za drobne przekroczenia administracyjne, dzięki solidarności bardziej od niego nieszczęśliwych towarzyszy wydostaje się na wolność, by dalej prowadzić swą robotę. Mimo to tortury dokonują przemian w psychice bohaterów sartre'owskich. Ukochany, podziwiany zaledwie parę godzin temu przywódca staje się dla nich obcym, wręcz znienawidzonym człowiekiem, który znajduje się już poza obrębem ich doznań; stoi on po drugiej stronie chińskiego muru, wzniesionego przez sam akt fizycznej tortury. Jeśli mimo tego uczucia nagłej obcości skazańcy nie wydają Jana, to nie tyle z pobudek natury ideowej, ile przez dumę zrodzoną w nich pod wpływem przemocy i brutalności oprawców; trzymać się za wszelką cenę, nie spełnić żądań policjantów doprowadzonych do wściekłości oporem ofiar.

Obok psychofizycznych cierpień ofiar francuskiej policji Sartre daje obraz mąk moralnych Jana, który jest bezsilnym świadkiem przeżyć towarzyszy, mimowolną przyczyną ich cierpień. Mękę tę zwiększa zobojętnienie ukochanej Lucji, której „ja" zostało z winy tortury doszczętnie wyprane z wszelkiego uczucia.

Wśród odmalowanych przez Sartre'a przedstawicieli ruchu oporu spotykamy najrozmaitsze osobowości, bogatą skalę doznań ludzkich. Grecki rewolucjonista — ofiara wszystkich niemal policji europejskich, lub raczej jednej, uniwersalnej instytucji policyjnej, która spogląda na cierpienia ludzkie z punktu widzenia racjonalistycznej użyteczności; kobieca, zaciekle dumna Lucja, pragnąca nade wszystko pokonania własnej słabości i zawstydzenia oprawców; odważna słabość Sabiera, który, czując, że nie wytrzyma dalszych tortur, ratuje się samobójstwem. Różnorodność i rozpiętość bohaterstwa wyrasta na tle zazębiań się przeżyć jednostek i doznań grupy. Strach, rozpacz piętnastoletniego brata Lucji, dla którego ruch oporu był czymś w rodzaju cudownej zabawy w zbójców i żandarmów i który nie może pojąć, że należy za nią płacić taką cenę. Toteż ginie on z ręki własnych towarzyszy na oczach siostry, która nie sprzeciwia się wyrokowi. Ginie bynajmniej nie dlatego, że zdradził, ale dlatego, że *może* zdradzić. Równie wielka jest rozpiętość okrucieństwa. Rozmaite typy policjantów osławionego Darnanda. Tacy, którzy zaangażowali się do policji pod wpływem chwilowej lekkomyślności i nie mają odwagi się wycofać; tacy, którzy cierpią nad własnym upadkiem i rozpaczliwie dążą do załamania się ofiar, gdyż ono jedynie daje im złudzenie pewnej użyteczności, wreszcie tacy, którzy kochają cierpienie... innych.

— J'aime le travail pour lui-même — mówi u Sartre'a sadystyczny policjant, któremu nie idzie już o celowość tortury, bowiem rozstrzeliwuje swe ofiary nawet po złożeniu przez nie wymuszonych zeznań, czyniąc to wbrew rozkazowi naczelnika policji.

Tu jest punkt kulminacyjny dramatu „Zmarli bez grobu". Grek-nacjonalista nakłaniał partyzantów złożenia fałszywych i nie mogących zaszkodzić Janowi zeznań — wychodząc z założenia, iż należy zre- zrezygnować z dumy ofiary wobec kata i ratować życie, które może jeszcze służyć sprawie.

Tragedię rozstrzelanych wbrew wszelkiemu rozsądkowi partyzantów przedstawia Sartre jako tragedię racjonalistycznej myśli ludzkiej, zapędzonej w ślepy zaułek przez irracjonalne siły, które rządzą ludzkością.

„Godna szacunku ladacznica", nastrojem i tematyką na pozór odmienna od „Zmarłych bez grobu", porusza ten sam problem: pogrążonej w irracjonalizmie ludzkiej słabości. Akcja „Godnej szacunku ladacznicy" jest osnuta na tle kwestii murzyńskiej: ludność jednego z większych amerykańskich miast zostaje zelektryzowana tendencyjnie rozsiewaną pogłoską o rzekomym gwałcie, dokonanym przez Murzyna na białej dziewczynie.

Amerykanie najrozmaitszej kondycji i mentalności, nie wyłączając samych Murzynów — są zdania, że istnieją zasadnicze różnice między białymi a tzw. „couleur peup'e". U jednych wyraża się to w niechęci i unikaniu kontaktu towarzyskiego, u drugich — jest równoznaczne z chęcią linczu i eksterminacji „niższego rasowo". Gdy ukrywająca prześladowanego Murzyna kurtyzana, jedyna osoba nie pozbawiona zdrowego rozsądku i żywiąca najpiękniejsze ludzkie uczucia (poszanowanie prawdy, życia ludzkiego, brak przesądów rasowych itp.) — wciska mu w ręce rewolwer mówiąc: „broń się, gdy cię tu znajdą: zabij oprawców" — otrzymuje odpowiedź: „Ależ proszę pani, mnie nie wolno przecież strzelać do Białych". — „Nawet gdy zagrażają twemu życiu?" — „Mnie nie wolno, to są przecież Biali" — odpowiada Murzyn. „Spiritus flat ubi vult" — i tak jedynie kokota na zbiorowy nierozsądek otaczającego ją społeczeństwa odpowiada aktem ludzkim, płynącym z głębi serca i zdrowej, prostej logiki.

W ten sposób Sartre podkreśla w swoich sztukach przypadkowość i bezskuteczność szlachetniejszych porywów jednostki.

Irma Kanfer

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

Wizerunek Johna Steinbecka

W przeciągu ostatnich dwudziestu lat wysunął się na czołowe miejsce pośród twórców amerykańskich kalifornijczyk John Steinbeck, który stanął obok Hemingwaya, Caldwella i Faulknera.

Rzut oka na dzieje Steinbecka przekona nas, jak się ten pisarz głęboko zrósł z Kalifornią. Tu, w Salinas, w roku 1902 przyszedł na świat jako wnuk emigranta niemieckiego, Grossteinbecka. Jego ojciec, zamerykanizowawszy się, pełnił przez wiele lat obowiązki skarbnika powiatowego. Syn ukończył miejscową szkołę średnią a potem, jako student sławnej Stanford Leland University w Palo Alto, na południe od San Francisco, wychowywał się nadal w tradycjach stanu kalifornijskiego. W czasie studiów w latach 1919—1925 Steinbeck interesował się szczególnie biologią morską i pierwszą swoją bardzo romantyczną powieść poświęcił morzu. „The Cup of Gold" (1929) opowiada o dziejach osławionego flibustiera angielskiego z XVII wieku, sir Charles Morgana, zdobywcy Zachodnich Indii i Panamy, gubernatora Jamajki.

Następna próba „The Pastures of Heaven" (1932) — kilkanaście opowiadań związanych wspólnością postaci — nawiązywała bezpośrednio do tematyki kalifornijskiej. Maluje w niej Steinbeck życie obyczajowe pewnej osady farmerskiej, wywodzącej swe tradycje z końca XVIII wieku, z epoki, kiedy tą ziemią władali Hiszpanie. Już tutaj wystąpiła charakterystyczna dla autora predylekcja do kreślenia życia jednostek słabych, upośledzonych fizycznie lub umysłowo, sytuacji niesamowitych. Tutaj ukazują się już znamienni dla galerii postaci Steinbecka przedstawiciele, a zwłaszcza przedstawicielki, ras mieszanych: Indian i Hiszpanów, ludzie zdegenerowani, amoralni, zabobonnie religijni, wolni od skrupułów wobec szóstego przykazania.

Mistycyzm pełen pogańskich refleksów, opętanie wiarą w nieograniczoną płodność przyrody są tematem następnej powieści, z roku 1933, nazwanej „To a God Unknown". Wieśniak z zapadłej osady leśnej przerażony długotrwałą suszą, aby przebłagać naturę zabija samego siebie na cześć nieznanych sił przyrody, u stóp ołtarza leśnego, gdzie w latach urodzaju czcił tajemne moce, zalewające Kalifornię powodzią kwiatów, zbóż i owoców.

Te trzy utwory wpadły jak kamienie w wodę, nie budząc u publiczności żywszego echa i nie dając środków utrzymania autorowi, który po zawarciu małżeństwa osiedlił się w nadmorskim, pięknym Monterey. Bieda zaglądała do jego mieszkania. Nieraz 25 dolarów na miesiąc musiało starczyć na życie. Beztroska, skromne wymagania, ryby łowione w morzu pozwalały pisarzowi przetrwać. Wolał tę biedną egzystencję niż poprzednie próby zarobkowania, które też niewiele przynosiły. Próbował bowiem malarstwa pokojowego, pracy w aptece, administracji majątku, pracy w kampanii jesiennej przy zbieraniu owoców w sadach plantatorów. W Monterey nadarzała mu się możliwość obserwowania mieszkańców rodzinnej ziemi. Nie w mieście, modnej osadzie kuracyjnej, lecz na zboczach wzgórz, na północ od miasta w okolicy zwanej Tortilla Flat, gdzie mieszka ludność mająca w swych żyłach krew indyjską, hiszpańską, meksykańską i co dziwniejsza, kaukaską, a w duszach idee i pojęcia odpowiadające mieszaninie krwi. Z obserwacyj nad tym światkiem, którego Steinbeck nie potępia ani nie idealizuje. lecz traktuje żartobliwie i z wisielczym humorem — powstała w roku 1935 powieść „Tortilla Flat" — pierwsza rzecz, która znalazła wreszcie szerszy oddźwięk.

Nie mogło być inaczej. Typy, które wprowadził, były zbyt egzotyczne, barwne, odrębne od tego, co dotąd uderzało u bohaterów powieściowych bądź co bądź purytańsko zabarwionej twórczości amerykańskiej. Czytelnik nie może oderwać uwagi od dziejów tych kalifornijskich lazzaroni, obieżyświatów, nicponiów, nierobów, niefrasobliwych złodziejaszków, playboyów, tej czeredy niebieskich ptaków, którzy, nie siejąc zbierają dość, aby wyżyć i czuć się w nędzy szczęśliwymi. Śpiew, wino i kobieta odgrywają ważną rolę w egzystencji tych podmonterejskich łotrzyków. Że odpowiada im godna galeria postaci kobiecych, to rozumie się samo przez się. Rekord bije Cornelia Ruiz, czarująca, pobożna, żyjąca w niczym nie osłonionej sexual promiscuit z plejadą „paisanos". Niedawno oficjalny literacki rzecznik radia amerykańskiego bardzo mocno kręcił nosem na to zbiorowisko, w którym królują Mrs. Morales, i Tia Ygnazia, i Sweets Ramirez, i szczególnie — Cornelia Ruiz.

Lecz to dopiero początek dąsów opinii amerykańskiej na Steinbecka. Było znacznie gorzej, gdy poeta, przyjrzawszy się stosunkom społecznym swego rodzinnego Eldorado, poszedł w ślady Uptona Sinclaira i z nierównie większym artyzmem oraz zjadliwością odsłonił kulisy krzywdy rzesz robotniczych w Kalifornii. Zrobił to po raz pierwszy w roku 1936, w powieści „In Dubious Battle". Później uprawiał coraz ostrzejszą krytykę, która kapitalistów kalifornijskich doprowadziła w końcu do białej gorączki.

Steinbeck jest entuzjastą pracy na roli. Zna ją z doświadczenia. Interesuje się losem sezonowych pracowników, szczególnie w ogrodnictwie i sadownictwie. Z powodu wyzysku, jaki stosują właściciele wielkich ogrodów i pól owocowych, wybuchają raz po raz strajki. „In Dubious Battle" jest historią jednego z takich strajków. Postacią centralną jest Jim Nolan, który, zrujnowany wraz z rodziną przez przedsiębiorców ogrodniczych, przystępuje w San Francisco do partii komunistycznej i razem z jej przedstawicielami, jak Mack, Dick i Joy, wybiera się w dolinę Torgas, żeby zdobyć doświadczenie w kierowaniu ruchem przeciwkapitalistycznym. Chociaż strajkujący znajdują poparcie sympatyków w Torgas, chociaż organizują obozowisko i pikietowanie łamistrajków, walka kończy się nieszczęśliwie. Jim Nolan traci w niej życie. Mack umieściwszy jego ciało na platformie, może rozpocząć swoją mowę od słów: Towarzysze, oto człowiek, który nie chciał nic dla siebie, chciał zwycięstwa was wszystkich!

Nieszczęśliwa dola sezonowych robotników polnych jest również tematem następnego utworu: „Of Mice and Men" (1937). Upodobanie do niezwykłych sytuacji i charakterów cechuje zarówno ten tom jak i następny zbiór opowiadań „Long Valley" (1938). Opisuje on młodość Jody'ego, krystalizującą się pod wpływem wypadków, których jest świadkiem. Śmierć ulubionego pony, cierpienia klaczy przy porodzie, rozmowa z młodą cyganką wprowadzają go w intymne procesy natury. Poznanie pionierskich dziejów dziadka czyni zeń jednostkę świadomą swych przeznaczeń. Ryzykowna opowieść o maciorze, wznoszącej się na stopień błogiej doskonałości, musiała wydać się bluźnierstwem.

Burza wybuchła jednak z powodu innej książki, która się ukazała w następnym, 1939 roku.

To najważniejsze dzieło Johna Steinbecka: powieść „The Grapes of Wrath". Kiedy się pojawiła, jedni uznali ją za „Chatę wuja Toma" XX wieku. Drudzy, zaatakowani — oponowali gwałtownie, lżyli autora, palili książkę. Ale wszyscy ją kupowali, jury Pulitzera przyznało jej nagrodę, a Hollywood sfilmowało. Steinbeck stał się naraz sławny i bogaty.

Skąd animozje, skąd powodzenie? Osnową powieści są dzieje rodziny Joadów, białych emigrantów z terenu Oklahomy, zniszczonej przez ulewy, które spłókały próchnicę z gleby; w urodzajnej Kalifornii spodziewali się znaleźć lepsze warunki pracy — a zastali wrogi nastrój właścicieli farm, prześladowanie, więzienie lub śmierć. Po epicku kreśli Steinbeck jazdę setek i tysięcy takich uciekinierów ze Środkowego na Daleki Zachód. Joadowie ciągną z innymi całą rodziną: słabsi i starsi giną po drodze; reszta walczy rozpaczliwie o możność pracy i życia w Kalifornii, w tym nowym raju ziemskim. Nie brak strajków, którymi uciekinierzy, nędzarze znad Missisipi, walczą o lepsze warunki pracy w nowym stanie; Kalifornia odnosi się jednak do przybyszów, jakby przyjechali z obcego kraju. Ogrom nienawiści tych wydziedziczonych wyraża się w końcowej decyzji Toma Joada, by opuściwszy karawanę przerzucić się do akcji bezpośredniej w ramach związków radykalnych w San Francisco, co przyczyni się do obalenia krzywdzącego porządku społecznego w Kalifornii.

W „Grapes of Wrath" udało się Steinbeckowi uniknąć dotychczasowych niedociągnięć w kompozycji i opisie. Słusznie zarzucano mu brak szerszego oddechu, nieumiejętność konstrukcji, operowanie fragmentami luźno związanymi w całość. Nie bez podstaw podkreślano też zbyt wyszukaną formę, rozkoszowanie się artystycznym budowaniem okresów i nadmiar cyzelowanego słownictwa. „Grapes of Wrath" zakrojone są na dużą skalę, przynoszą wielki materiał obserwacyjny, plastyczne postaci i dynamiczną akcję. Niezapomniane są sceny z podróży na Zachód na rozklekotanym fordzie, z pakunkami i całym gospodarstwem, postoje w lasach, wrogość przydrożnych barów wobec wędrujących w ten sposób biedaków. Sceny śmierci starego Joada, śmierci jego żony, powodzi i decyzji Toma, by pójść walczyć o lepsze jutro, czyta się z zapartym tchem. Wodzem duchowym gromady jest Ma, matka, która kończy wszystkie ciężkie przejścia słowami wiary w lepszą przyszłość: Mimo wszystko nie zginiemy!

Niektórym krytykom takie zakończenie wydaje się czymś mechanicznym, oportunistycznym. Rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Autor zostawia bohaterów bez widoków na poprawę, nie wytrzymuje konsekwentnie nastroju walki aż do upadku tego, co złe.

Oczywiście kalifornijscy farmerzy napiętnowali autora „Grapes of Wrath" jako komunistę, wywrotowca, wroga ustroju USA. W istocie autor unika wszelkich wypowiedzi teoretycznych, chociaż zwalcza wyzysk człowieka przez człowieka. Steinbeck piętnuje w swej powieści obojętność rządu i brak serca w społeczeństwie w obliczu klęsk, które dotykają całe stany, w obliczu migracji tysięcy ludzi, tysięcy bezdomnych nędzarzy. Jego powieść jest dokumentem epoki i sygnałem ostrzegawczym; mówi społeczeństwu o wadach ustroju kapitalistycznego USA. Powieść osiąga swój cel bez moralizowania, przez czysto dokumentacyjne ujęcie. To prawdziwie wielkie dzieło sztuki.

Wobec burzy, jaką rozpętała powieść, Steinbeck wybrał się w 1942 w podróż morską, której wynikiem jest książka pt.: „The Sea of Cortez", reportaż marynistyczny, pełen liryzmu i poetyckich uniesień.

Rok 1942 przyniósł tematykę wojenną: „The Moon is Down" i „Bombs Away: The Story of Bomber Team". W pierwszej książce dał Steinbeck opis inwazji niemieckiej w jednym z krajów północnej Europy, nie nazwanym z imienia, chyba w Norwegii. Opinia publiczna w USA, właśnie świeżo podniecona przystąpieniem Stanów do walki, wyraziła protest przeciw zbyt łagodnemu przedstawieniu poczynań zwycięskich nazistów. Istotnie, okupacja w fikcyjnej krainie jest czymś niewinnym, czymś bez znaczenia. Certowanie się burmistrza Ordena z pułk. Lanserem i patetyczne przytaczanie cytatów z Sokratesa idącego na śmierć świadczą, że w dalekiej, słonecznej Kalifornii autor nie wniknął w sens eksterminacyjnej akcji niemieckiej w Europie podczas drugiej wojny światowej. Kalifornia, Salinas, Monterey, doliny i góry własnego kraju, to teren, po którym Steinbeck porusza się ze znawstwem i z którego jedynie czerpie interesujący materiał twórczy. Mimo niemieckiego nazwiska jest oczywiście dobrym Amerykaninem; matka pochodzi z rodu irlandzkich pionierów z Massachusetts, którzy przybyli tam w XVII wieku.

Niepowodzenie w dziedzinie tematyki wojennej nie przesądza dalszej działalności pisarskiej Steinbecka. „Dopiero zacząłem: jeszcze nie jestem dobrym pisarzem" — powtarza, kiedy nie może uniknąć wywiadów, których z zasady nie udziela.

Tematyka Steinbecka jest dość jednostajna, związana z Kalifornią, z wyraźną predylekcją do charakterów patologicznych, które, zdaniem krytyki amerykańskiej, nie zawsze bywają u Steinbecka należycie pogłębione, a są przedstawione raczej symplicystycznie. To właśnie przystępne, popularne przedstawianie środowisk z Dalekiego Zachodu, zaludnionych egzotycznymi postaciami, zyskuje mu setki tysięcy czytelników.

Mimo tych ogólnych zastrzeżeń co do twórczości Steinbecka „Grapes of Wrath" zostanie na pewno trwałą pozycją w literaturze amerykańskiej, tak jak „Tragedia amerykańska" Dreisera, „Główna ulica" Sinclaira Lewisa, czy „Cmentarz w Spoon River" Mastersa.

Stanisław Helsztyński

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO CZESKIE



WACŁAW SPAŁA — Praczka

JAN MEYSZTOWICZ

„NO TYSK!"

Gdy dnia 10 kwietnia 1940 radio doniosło o inwazji na Danię i Norwegię, nie posiadaliśmy się z radości. Nie wiem dlaczego, ale dla każdego nawet kuchty było rzeczą oczywistą i nie podlegającą dyskusji, że nasza brygada pojedzie do Norwegii. 22 kwietnia, dzięki wysiłkowi holowników, molo w Brest poczęło się cofać, zrazu leciutko. Z zakątków podnieconej wyobraźni wypełzła trema. Będziemy pierwsi od wrześniowej pożogi, którzy damy świadectwo światu. Tremy nie ma rzemieślnik, wyrobnik, statysta. Tych było wśród nas niewielu.

Konwój płynął marudnie poprzez irlandzkie morze, zatoczył potem wielki łuk dokoła wysp Faroe i dalej na północny wschód, nie wiedzieliśmy jednak dokładnie dokąd zdążał.

Monotonię podróży przerywały komunikaty radia niemieckiego, pełne drwin i pogróżek pod adresem naszego konwoju, oraz próbne alarmy przy tratwach i łodziach, zarządzane prawie z reguły w chwili, kiedy obie strony były po partii i groziło brzemienne w możliwości bez atu.

Trzeciego Maja obchodziliśmy gdzieś w głębi Arktycznego Oceanu. Od wielu już dni mewy znikły z naszego szlaku. Na górnym pokładzie, na ołtarzu ze skrzynek z amunicją, mszę św. celebrował ksiądz major Warakomski, naczelny kapelan brygady.

Lądowanie w Harstadt, głównym i malutkim porcie na Lofotach, poprzedziła trzydniowa wędrówka do Tromsö i aż za przylądek Północny (najdalej wysunięty na północ punkt Europy), aby ukryć konwój przed samolotami niemieckimi do chwili, kiedy w Harstadt będzie dla nas miejsce przy molo. Włóczęga wzdłuż i wewnątrz fiordów była porywająca. Wjeżdżaliśmy wprost na ścianę biało-czarnych skał, na których leżał jeszcze obfity śnieg, i dopiero w ostatniej chwili okazywało się, że w ścianie jest jednak szczelina, w którą wcisnąć się może statek, a z niej w przedziwną gmatwaninę wody i gór, z których, zdawałoby się, nie ma się już gdzie dalej ruszyć. Potem odkrywało się inne i jeszcze inne. Te wszystkie skały są podobne do siebie jak drzewa w puszczy dla przybysza z miast. Jest w nich groza i piękno, wyraz i treść, ale oko chciałoby uciec spragnione barw, a wyobraźnia tęskni za czymś, co byłoby mniej majestatyczne, a bardziej ludzkie. Krajobraz tej północy jest drzeworytem. Było i słońce. Srebrne, o metalicznym blasku, wisiało i świeciło jak kwarcowa lampa, ale nie żyło jak nasze. O tej porze roku słońce zasiada na stałe w niebie koloru zamarzłej wody. Czas już nie jest funkcją słońca, ale sztuczną umową. Wydawało się nam, że czas stanął w bezruchu. Musi już być koło piątej — mówi o tym zmęczenie i głód — tymczasem zegarek jest zdania, że minęła jedenasta w nocy. Noc jest wtedy, kiedy widać słońce kute nie w srebrze, ale w miedzi. Brak nocy wywołuje uczucie, że słońca nie ma, choć przecież wciąż jest obecne. W zimie za to najkrótszy dzień w roku na tej długości geograficznej trwa 17 minut. Gdy norwescy pracownicy portowi oświadczyli, że idą do domu, ponieważ jest późna noc, wyglądało to na bezczelne kpiny. Według zegarka mieli rację.

Z wyładowaniem był pasztet nie lada i wieża Babel z tych mniejszych. Stado naszych sztabowców zniknęło od razu, aby spłodzić wielkie plany operacyjne. Reszta zawodowych rozumiała tylko po polsku, nie cierpiała francuskich oficerów, którzy usiłowali się dogadać po angielsku z Norwegami, nie rozumiejącymi w ogóle, skąd się u nich wzięła wojna. Byli i Brytyjczycy. Pierwszy raz w historii aliancji Polski całą gębą. Bogato, aczkolwiek niezbyt odpowiednio wyekwipowani prezentowali się doskonale i nie przejmowali się niczym. Sam słyszałem pytanie: „czy w polskiej brygadzie jest drużyna footballowa?". Mieli za to w bród doskonałego jedzenia, gdy nasi intendenci cierpieli na oszczędność.

Wojskami alianckimi w tej części Norwegii dowodził generał brytyjski, Carton de Viart, myśliwy z powołania, który, straciwszy w pierwszej wojnie światowej jedną rękę i jedno oko, gros lat spędził potem na Polesiu. Strategicznie sytuacja była prosta. Od chwili, kiedy w końcu kwietnia pancernik „Warspite", weteran z bitwy jutlandzkiej, wycofany dopiero w tym roku z czynnej służby, wydusił w fiordzie narvickim flotyllę siedmiu niemieckich kontrtorpedowców, marynarka królewska panowała nad morzem. Niemcy, którzy dysponowali wszystkimi lotniskami norweskimi, trzymali niebo.

Port i miasto Narvik były solidnie umocnione i bronione przez 3-cią dywizję strzelców tyrolskich pod dowództwem generała Dietla. Zaopatrywano ich bez trudności z samolotów. Pocztę na przykład otrzymywali codziennie. Zamożność i znaczenie jako port zawdzięczał Narvik połączeniu kolejowemu z Kiruną, leżącą już w Szwecji, do której granicy było niespełna 16 km. W Kirunie są złoża wysokogatunkowej rudy żelaznej, którą wojenny przemysł niemiecki sprowadzał morzem z Narviku.

Niemcy panoszyli się w powietrzu prawie zupełnie bezkarnie. Dali się nam we znaki od pierwszej chwili. Polowali głównie na statki i okręty wojenne, bez których wojsko byłoby w pułapce. Ciągłe ich walki, zwłaszcza z brytyjskimi kontrtorpedowcami, zwinnymi jak wiewiórki i szybkimi jak ogary, w wąskich fiordach i przy chronicznie pełnym świetle, były wyjątkowo efektownym widowiskiem.

Zginął tam ORP „Grom", trafiony z około 3 tys. metrów i pasażerski statek „Chrobry".

Bataliony I i II pierwsze poszły do akcji. Chodziło o zepchnięcie Niemców ze wszystkich pozycji w górach otaczających Narvik i opanowanie ich, gdyż w przeciwnym razie natarcie na miasto było niemożliwe. Brygada wchodziła w skład tak zwanej I Dywizji Lekkiej, do której należały, oprócz 4 batalionów podhalańskich, 3 bataliony francuskich Chasseurs Alpins, 2 bataliony Legii Cudzoziemskiej i 3 baterie artylerii polowej, plus służba. Wszystko pod dowództwem generała Bethouard, obecnego szefa francuskich wojsk okupacyjnych w Austrii. Żołnierze brygady, nowicjusze, uczyli się maskowania, wojny górskiej i wszystkich arkanów prowadzenia wojny szybko i inteligentnie. Wiadomości o inwazji na Belgię i Holandię, o wdarciu się Niemców do Francji były skąpe i mało kogo obchodziły. Brygada zdobywała sobie imię.

Mój pluton poza patrolami w górach i wyprawami rybackimi po fiordach mało miał roboty. Było to okropnie męczące, bowiem po bardzo trudnym terenie chodziliśmy tak obładowani, że dromader czułby się przy nas jak baletnica — ale związane z tym emocje i nowość krajobrazu były wielokrotną rekompensatą. Na jednym z takich patroli miałem za zadanie z dziesięcioma ludźmi z mojej drużyny wybadać, ile było prawdy w plotkach o przymusowym lądowaniu w jednym z fiordów niemieckiego wodnopłatowca, którego pasażerów widziano jakoby opodal w górach, pętających się z zamiarem przedostania się do swoich. Był to jeden z najgłębiej wrzynających się w ląd fiordów, jak powiadają „u czorta na kuliczkach", bardzo malowniczy, ale z fatalnie stromymi i pokiereszowanymi zboczami, gęsto porośniętymi niemrawą, podbiegunową brzozą i karłowatą sosną. Do wylotu fiordu dowieziono nas kutrem, dalej trzeba było drałować na piechotę. Zapowiadało się porządnie mozolne gramolenie się. Po pewnym czasie zobaczyłem przez lornetkę malutką zatoczkę, gdzie stała łódź, a obok dostatni drewniany domek rybacki. Zwyczajem Norwegów, którzy malują dom na wszystkie możliwe kolory, był jasnoniebieski i miał czerwone futryny. Dokoła na żerdziach suszyła się ryba i śmierdziała że aż hej.

Wyganowski mnie nauczył, jak się w takich wypadkach postępuje. Otoczyliśmy domek po cichutku, obydwa rkmy kazałem wycelować na drzwi i okna, a sam z dwoma strzelcami wlazłem do środka. Bezwiednie zastukałem do drzwi. W środku był gospodarz z żoną i dwiema córkami. Były to typowe, limfatyczne blondyny, pewnie po 80 kilo każda, jakich widzieliśmy już sporo. Norweżki są dorodne, ale o cerach, oczach, brwiach i włosach tak jasnych, że wyglądają jak za wcześnie wydobyte z pieca bułki. Wielkiego napędziliśmy im strachu. Tubylcom trudno było odróżniać Niemców od aliantów, których było aż trzy rodzaje: Polacy, Francuzi i Brytyjczycy. W tych błogosławionych stronach od stuleci nie oglądano wojska. Nasze norweskie słownictwo ograniczało się do kilku słów, z których na pierwszym miejscu było słowo Tysk — czyli Niemiec.

No Tysk — tłumaczyłem gospodarzowi elokwentnie, wymachując rękami i wskazując polskie orzełki na hełmach. Te same dwa słowa ze znakiem zapytania w głosie miały pomóc do zdobycia wiadomości, czy nie widzieli Niemców w pobliżu. Papa rybak nie bardzo się na orzełkach wyznawał, ale dał się łatwo przekonać, że mamy przyjazne zamiary i zrobił się bardzo gościnny. Kazał żonie i córkom podać kozie mleko i chleb, i naturalnie ową fatalną suszoną rybę. Raz tylko miałem okazję zjeść prawdziwą norweską kolację, a głodny byłem nieprzyzwoicie. Była szynka z kozy, sardynki w jakiejś czerwonej marmoladzie, ser koloru i zapachu smaru do nart, ciastka z owsa i duże białe gałki z ryb w zacierkowatym sosie. Pozostawiwszy trzech strzelców na czatach, reszta drużyny władowała się do chaty, skąd się wkrótce rozległo smakowite siorbanie.

Z konwersacją natomiast było gorzej. Zełgaliśmy zgodnie, że obie „fröken" są urodziwe, na co wystarczyło jedno słowo i sugestywna mimika. Ale dalej nie szło. Rybak był zamożny. Norweskie chaty aż lśnią przesadną czystością. Ale co uderzyło mnie przede wszystkim, to duży Telefunken na honorowym miejscu. Papa rybak wskazywał nań ciągle i coś opowiadał z przejęciem. Nie mogliśmy dojść, o co mu chodzi. Po chwili podszedł do radia i zapalił je. Obie córki i żona przysiadły się zaraz. Było jasne, że czekają na jakąś specjalną audycję. Po chwili coś zagadał speaker, a po nim odezwał się głos, który mówił powoli i uroczyście. Cała rodzina słuchała z nabożeństwem, gdy my siedzieliśmy jak trusie, nic nie rozumiejąc. Głos zamilkł, a rybak zaczął nam tłumaczyć, o co chodziło. Nie rozumieliśmy oczywiście ani w ząb. Stary się zniecierpliwił odrobinę i wreszcie, jakby nagłą myślą tknięty, wziął mnie za rękę, a gestem drugiej mówił wyraźnie: „A teraz uważaj dobrze, jełopie!" Mimika jego istotnie była łatwa do zrozumienia. Wskazał na córki, na żonę, na dom i łódkę za oknem. Potem na siebie. On jest ojcem tej rodziny i tego wszystkiego. Potem wskazał na głośnik. Kim był ten głos przed chwilą słyszany? Podprowadził mnie do okna i ręką zatoczył nad wszystkim, co było za nim widać. Potem znowu palcem na głośnik, i na siebie, i na ziemię norweską i wody fiordu. Ten głos należał do ojca, którego rodziną byli wszyscy Norwegowie i ich ojczyzna. Zrozumiałem natychmiast. Przez radio przemawiał król norweski. Haakon! zawołałem, ale wymawia się to jakoś inaczej i dopiero gdy pokazałem palcami siódemkę i powtórzyłem parę razy królewskie imię, rybak się roześmiał serdecznie i uścisnął mi rękę. Pomysł rybaka był chyba najpiękniejszym hołdem dla norweskiego monarchy.

Wyruszyliśmy dalej i ledwo zipiąc doszliśmy do końca fiordu. Niemców ani widu, ani słychu. Odkryliśmy jeszcze jedną rybacką chatę, na samym dnie fiordu, bardzo biedną tym razem, z desek skleconą. W chacie nie było nikogo — właściciel musiał nas widocznie zawczasu wypatrzyć, bo uciekł w góry. W kuchence stały garnki na ogniu. Przeszukaliśmy chatę delikatnie, szukając śladów ewentualnych niemieckich gości. Nie znaleźliśmy nic prócz kozy, uwiązanej obok w budce. Nikt nie wiedział, jak się zabrać do jej wydojenia. Zjedliśmy natomiast gospodarzowi sporo chleba, jako zapłatę zostawiając jedną norweską koronę (nikt nie miał drobnych) i paczkę obrzydliwych francuskich papierosów wojskowych, od napisu „Troupes" trupami zwanych. Kiedy byliśmy już o kilkaset metrów od chatki, przyszło mi do głowy, że po powrocie właściciel będzie pewnie zadowolony, żeśmy nie zmaltretowali jego kozy i zachowali się jak cywilizowani żołnierze, ale nie będzie wiedział, kim byli nieproszeni goście. Było to zupełne odludzie, o wojskach sprzymierzonych pewnie nikt nigdy nie słyszał i rybak gotów pomyśleć, że to był patrol niemiecki. Trzeba więc było po sobie zostawić jakiś ślad, który posłużyłby za dowód, że byli to nie tylko sprzymierzeńcy, ale Polacy. Podzieliłem się tymi wątpliwościami z drużyną i aczkolwiek byliśmy wszyscy do cna zmordowani, aprobata nastąpiła natychmiast. Ale co zrobić, aby naszą polskość zadokumentować? Biletów wizytowych nikt nie miał. Czy nasz gospodarz umiał w ogóle czytać? Jeżeli tak, to na pewno tylko po norwesku. Przeleciało mi przez głowę, że można by napisać po łacinie? Miałem papier i ołówek. Zapytałem, czy kto nie umie rysować. Chodziło o narysowanie polskiego orła. Podobnych talentów brakło w drużynie. I nagle: ależ oczywiście, przecież umiemy akurat tyle, co trzeba po norwesku. No Tysk! Wróciłem z dwoma strzelcami do chaty i zostawiłem na stole kartkę z tymi dwoma słowami, wypisanymi drukowanymi literami. Wychodząc zastałem obu strzelców zbierających kamienie nad fiordem, u stóp chaty. To był ich pomysł. Z tych kamieni ułożyli na piasku napis: Polska.

Właściwa bitwa o Narvik rozpoczęła się o północy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego maja. Tegoż dnia rozpoczęła się ewakuacja z plaż Dunkierki. Nie wiedzieliśmy nic o tym. Z rzadkich min niektórych oficerów francuskich domyślałem się, że na froncie zachodnim coś musiało z grubsza nawalić, ale bezpośrednie zadanie — wzięcie Narviku — przysłaniało wszelkie refleksje. Narvik leży na półwyspie. Od strony północnej miały nacierać dwa bataliony Legii Cudzoziemskiej, które musiały przeskoczyć przez fiord w pancernych łodziach szturmowych, dostarczonych przez Anglików, i wyładować na plaży w wyżłobionych przez fale kamieni. Od strony południowej nacierał II batalion polski, który miał za zadanie zejść ze zdobytych z trudem w górach stanowisk górujących nad Ankenes i zdobyć tę dużą wioskę. Był to rodzaj przedmieścia Narviku, leżącego nad fiordem Beisfiord, którego wody otaczały Narvik od południa; I baon, wspierany baterią 75-tek, miał uderzyć wzdłuż Beisfiordu, dojść do jego dna i wyjść w ten sposób na tyły niemieckiej załogi Narviku, odcinając jej odwrót do granicy szwedzkiej.

Dokoła półwyspu uplasowało się siedem kontrtorpedowców brytyjskich i krążownik „Cairo". Ich działa wspierały całość natarcia. Mój pluton nie brał w nim udziału. Dzięki dobrej znajomości wszystkiego co francuskie oraz wyjęczaniu się po angielsku, zostałem wysłany jako p.o. podoficera łącznikowego na stronę francuską. Po zameldowaniu się u majora Paris, szefa sztabu generała Bethouard, obleciał mnie wielki strach. Byłem tylko kapralem podchorążym, wyrwanym z plutonu do sztabu, i nie rozumiałem trzech czwartych tego, co się wokół mnie działo, a pytać nie śmiałem, aby nie uchodzić za tumana. W sztabie polskim powiedziano mi, że co trzeba, dowiem się od Francuzów. Francuzi zaś myśleli widocznie, że w sztabie polskim poinformowano mnie cokolwiek. Gapiłem się zatem, jak mogłem najintensywniej, dokoła, łowiąc pilnie urywki rozmów i rozkazów.

Wstępne bombardowanie Narviku z morza, to było frapujące widowisko. Leżałem w zagłębieniu skalnym, na wzgórzu górującym nad miejscem, skąd Legia miała się ładować do łodzi szturmowych. Opodal był ukryty i zamaskowany telemetr, skąd francuski major kierował telefonicznie ogniem baterii 75-tek, które miały torować drogę Legii. Byłem zupełnie jak w loży — i podobnie się zachowywałem. Nagle, pomiędzy salwami brytyjskimi, doleciał mnie wyjątkowo wściekły głos owego majora: „Planquez-vous espèce de c... voulez-vous recevoir du 77 sur la gueule?" (leż płasko ostatni z idiotów, czy chcesz dostać 77 po mordzie?). 77 był to kaliber niemieckich dział polowych, których było cztery, nie wykrytych, ale obecnych po przeciwnej stronie fiordu. Struchlałem, po raz pierwszy tej nocy, ale nie ostatni. Nie zdawałem sobie sprawy, że wylazłem do połowy z mojej dziury w skale, aby lepiej widzieć, i sylwetkę moją na tle jasnego nieba łatwo było zauważyć.

Oberwałby przy tym major z telemetrem.

Przebycie fiordu przez Legię było pierwszym aktem dramatu po naszej stronie półwyspu. Niemcy, doskonale wyszkoleni, czekali z ogniem na odpowiednią chwilę. W łodziach legioniści byli bezpieczni od broni maszynowej, ale ładować się do nich i wyskakiwać z nich na plażę musieli pod wzorowym ogniem. W dymie palących się drewnianych domów Narviku i w kurzawie wystrzałów niewiele było wkrótce widać. Mój tymczasowy szef, major Paris, poległ najbardziej romantyczną śmiercią żołnierza, od kuli w czoło, która przebiła hełm. Major, który mnie tak obrugał, prowadził ogień baterii z maestrią kapelmistrza. 75-ki to była doprawdy narodowa broń francuska. Salwy tych czterech dział ochraniały legionistów wdzierających się do miasta i po drodze, którą znaczyli dużymi stratami, rozlegały się krótkie uderzenia granatów, to tu, to tam, jak bokser szukający słabych punktów przeciwnika. Major, ze słuchawką w ręce, miotał się przy telemetrze i pomiędzy rozkazami ogniowymi ryczał do tejże słuchawki tak niezwykle obrazowo i szczegółowo opracowane przekleństwa, że trudno się było nie zachwycić. Jedno z niemieckich dział było szczególnie dokuczliwe. Przez dobrą godzinę nie można go było wykryć. Otwierało ogień jak spod ziemi, zawsze kąśliwie, i zaraz potem znikało, by ugryźć po chwili z innego miejsca. Major pienił się, i — jak powiadał Zagłoba — od jego słów dusza by zamarła w niemieckiej obsłudze, gdyby je mogła usłyszeć. Wreszcie wrzasnął radośnie: „Ça y est, j'ai réparé la pièce, oh! les salauds!" Działo było przymocowane do platformy kolejowej, która stała na szynach w jednym z licznych tuneli kolei, biegnącej z Narviku do Kiruny wzdłuż wybrzeża półwyspu. Po kilku strzałach obsługa wpychała znowu platformę do tunelu, po czym działo wyjeżdżało z drugiej strony i nadal robiło swoje. Major coś tam szybko poobliczał z mapy i lampą sygnałową kazał mrugać Morsem do kontrtorpedowców w fiordzie. Kilkanaście dział czterocalowych zaczęło młócić oba wyloty tunelu, zasypując je dokumentnie.

Przez lornetkę wyraźnie było widać osypywanie się wielkich zwałów ziemi i skał. Jak już wspomniałem, lotnictwo niemieckie panowało w powietrzu. Było oczywiste, że w godzinę po rozpoczęciu natarcia zjawią się nad naszymi głowami Junkersy i Heinkle. Aby wyrównać szanse, w dziesięć dni przed tym lotniskowiec „Glorius" — który nie powrócił już z tej podróży — dostarczył dziewięć Hurricane'ów, myśliwców RAFu. Prowizoryczne lotnisko, na gwałt dla nich przygotowane w Skaaland, było za krótkie i dwie maszyny skapotowały przy pierwszym lądowaniu. Niemniej jednak, zgodnie z planem operacyjnym, który przewidywał, że od północy myśliwce będą kolejno patrolować, po trzy maszyny, i krążyć nad Narvikiem, punktualnie zaraz po dwunastej zjawił się nad nami pierwszy patrol. Odetchnęliśmy wszyscy, ale najszczerzej dowódcy okrętów brytyjskich, które w ciasnym fiordzie najbardziej były narażone. Około trzeciej w nocy, w szczytowym momencie natarcia, wyjrzał zza gór Heinkel i zaraz się właściwie wypróżnił. Po chwili było ich więcej. Tylko patrzeć, jak myśliwce ich przegonią i po swojemu dołożą. Krążownik „Cairo" dostał w sam środek, między kominami, i palił się niedwuznacznie. Kontrtorpe-

dowce rozbiegły się w fiordzie niczym bażanty na łące. A myśliwców jak nie ma tak nie ma. Francuzi zaczęli się denerwować. „Qu'est-ce qu'ils foutent ces Anglais!“ Zrobiło się nieprzyjemnie. Znaleźliśmy się w samym środku bombowej burzy. Leżałem sobie dosyć otumaniony tym hałasem, gdy z mojej dziury wyciągnął mnie francuski sierżant, który zameldował na czworakach, że generał Bethouard wzywa polskiego oficera łącznikowego. Zameldowałem się zaraz u niego, jak umiałem najzamaszyściej. Siedział na kamieniu, pod kępą brzózek, z trzema oficerami sztabu. „Pójdzie Pan zaraz w dół na lewo, gdzie znajdzie Pan motocykl z koszem. Zawiezie on Pana — tu pokazał na mapie — do tej zatoczki. Czeka tam brytyjski wodnopłatowiec. Pilot zabierze Pana na drugą stronę półwyspu, gdzie odszuka Pan jak najprędzej generała Bohusza i odda mu Pan to pismo. Odpowiedź generała proszę mi przywieźć natychmiast. Zależy mi na każdej chwili.“

„Tak jest, panie generale.“

„Czy zna pan sytuację?“

Struchlałem, tym razem ostatecznie. Nie orientowałem się nic a nic. Zebrałem okruchy pewności siebie i odpowiedziałem: „Nie, nie znam, panie generale“.

W tej chwili, wśród łomotów w pudle rezonansowym, jaki tworzył otoczony górami fiord, łupnęło coś bliziutko i zaraz potem, w takim przeciągu, jakby się otwarły drzwi do wieczności, posypały się bomby. Pomyślałem: na Boga, trzymaj fason przed generałem! Ta końcowa refleksja zastała mnie plackiem na ziemi. Chciałem się bardzo zawstydzić, nie mogłem jednak zebrać myśli do kupy. Ale generał i oficerowie, to też ludzie, znaleźli się wcale nie później i tak samo automatycznie w pozycji jak najbardziej horyzontalnej. Kicaliśmy zatem we czwórkę, jak zające po ugorze, od skały do skały, i od dziury do dziury, przez dobrych parę minut, aż się uspokoiło na tyle, że można się było zachowywać jak dwunogi. Generał otworzył mapę na kolanach i bardzo spokojnie i rzeczowo zaczął tłumaczyć, że Legia utknęła na kocie — o ile pamiętam 457 — że straty są poważne, że kompanii norweskiej, która miała wyjść z jakichś bezdroży przy granicy szwedzkiej w kierunku na Narvik, jeszcze nie widać. O ile Polacy po przeciwnej stronie też utkną, to natarcie może się załamać. Generał Bohusz powinien być gdzieś tam a tam. Starałem się zapamiętać każdy szczegół. Motocyklista dowiózł mnie do zatoczki, gdzie przycumowany był u brzegu wodnopłatowiec marynarki brytyjskiej, wybitnie antycznego typu Walrus, ze śmigłem za kabiną pilota, i jednym rkm Lewis, obsługiwanym przez strzelca na przodzie. Pilotem był podporucznik angielski, przystojny jak archanioł. Powiedziałem mu. o co chodzi. Strzelec, który był zarazem mechanikiem, zapuścił śmigło. Na trzech pasażerów nie było zasadniczo miejsca. Wcisnąłem się obok pilota.

„Czy ma Pan mapę?“ — zapytał.

„Nie, nie mam, a Pan?“

„Też nie mam, chyba tylko tę.“ Pokazał mi kartkę ze szkolnego kieszonkowego atlasu. Byłem coraz bardziej skonfundowany.

„Gdzie mamy znaleźć pańskiego generała?“

Wzruszyłem ramionami. „Tam po tamtej stronie“ — pokazałem horyzont za spowitym dymami narvickim półwyspem.

„Ale gdzie?“

„Nie mam pojęcia“ — odpowiedziałem, jak mogłem najuprzejmiej.

„A no to pojedziemy. Tylko że musimy lecieć bardzo nisko. Inaczej pierwszy samolot niemiecki, który dostrzeże ten grat, łyknie nas jak struś kamień. A tak to ryzykujemy, że nas nasi zestrzelą z kmów. Ja nic nie rozumiem, co się tu dzieje i we dwóch tu jest stanowczo za ciasno. Niech Pan wejdzie na miejsce przedniego strzelca, który się położy tu z tyłu w kadłubie. Będzie się Panu łatwiej orientować, kto co robi w tym całym businessie. Strzelał Pan kiedy z Lewisa?“

Popatrzyłem sceptycznie na ten rkm, który ma lufę otoczoną chłodnicą, a chłodnicę w rurze zupełnie jak od samowaru.

„Nigdy nie widziałem takiego rkmu“.

„Nie szkodzi, strzelec Panu pokaże, co trzeba, a zresztą i tak na nic się to, w razie czego, nie przyda. więc nie warto sobie głowy zawracać.“

Po takim dictum wystartowaliśmy. Z miejsca przedniego strzelca, z Lewisem, który mnie w brzuch uwierał, wyciągałem szyję jak żóraw Widok był wspaniały. Zgubiliśmy się naturalnie od razu. Z góry wszystko wyglądało inaczej. Dawałem pilotowi znaki ręką, to w lewo. to w prawo, ale bardzo na chybił trafił. List Bethouarda palił mi kieszeń ze strachu, że nigdy nie odnajdziemy Podhalan, że nie wykonam zadania, zapomniałem o Luftwaffe. Czerwona kreska świetlnej serii z km od brzegu zrobiła kreskę jedną, drugą, pod nami. Przemknęło mi przez głowę, że w osiemnastym wieku wiozący tego rodzaju listy mieli rozkaz je zjeść, gdy groziła im rana lub niewola.

Przelecieliśmy dokoła półwyspu i zacząłem tracić głowę. Gdzie tu kogo szukać? Tylko Ankenes, z kilku palącymi się domami. widać było wyraźnie. Pokazałem pilotowi palcem, aby zejść jeszcze niżej. Pokręcił głową, ale usłuchał. Kręciliśmy się tak parę minut, aż przy brzegu dojrzałem łódź rybacką wypchaną mundurami, wśród których były podhalańskie peleryny. Pokazałem pilotowi, aby wodował tuż obok. W łódce zrobił się bardzo znamienny ruch. Każdy samolot wydawał się niemiecki, na biało-czerwono-niebieskie tarcze nikt nie zwrócił uwagi. Z dwóch rkmów wybierali się nam dopomóc wodować. Zrobiło mi się bardzo głupio. Ci idioci gotowi nas ukakoszyć jak nic. Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni podhalański beret. Zdarłem hełm z głowy, nie wiadomo po co, i wydobytym beretem zacząłem machać jak opętany. Byliśmy tak nisko, że twarze było widać wyraźnie. Poskutkowało. Lufy rkmów prowadziły nas aż do chwili, kiedy chlapnęliśmy o wodę, ale nic więcej. Teraz — dopiero się okazało, jakie miałem szczęście. Byli to strzelcy z IV batalionu. Zaraz obok była nasza placówka. Tam powiedziano mi dokładnie nie tylko, gdzie się znajduje generał Bohusz ze swym sztabem, ale dano mi rower, który zginął jakiemuś Norwegowi. Na tym rowerze pedałując ile wlazło, dojechałem do drewnianego domku, gdzie miał swoje m. p. dowódca brygady.

Polskie natarcie, które ruszyło o wpół do drugiej po gęsto podszytym terenie w dół na Ankenes, też nie poszło gładko. Drugi batalion nacierał brawurowo, ale za szybko, kompanie nie trzymały się sąsiadów, każda byle naprzód. A Niemcy znali świetnie swoje narodowe rzemiosło Kompania Zamoyskiego została tak poharatana, że przeciwuderzenie niemieckie dotarło do punktu obserwacyjnego generała Bohusza. Nasi sztabowcy sięgali do pistoletów. Dziurę załatano odwodami z IV batalionu i Ankenes zostało wzięte. Wycofujący się łodziami na półwysep narvicki Niemcy zostali dokładnie wytopieni z kmów w Beisfiordzie. Wzdłuż tego fiordu I baon szedł bardzo skutecznie. Powróciłem do generała Bethouarda z tymi dobrymi wiadomościami. Tymczasem wyjaśniła się bezczynność myśliwców brytyjskich, które się wreszcie zjawiły. W chwili, gdy powracający patrol trzech myśliwców wylądował, a następny miał startować na za krótkie i za ciasne lotnisko polowe, zapadła nagle mgła tak gęsta, że o startowaniu nie mogło być mowy.

Bitwa o Narvik trwała 36 godzin. O odwrocie niedobitków niemieckich i wzięciu miasta zadecydował I batalion, który doszedł do dna Beisfiordu, wypierając Niemców z kolejnych bunkrów i umocnień, i tam spotkał się z Legią. Żelazna pętla dokoła Narviku zamknęła się. Ci, co pozostali w środku, poddali się za wysoką cenę, ci, co zdążyli skoczyć w góry przed zamknięciem się pętli, mieli przed sobą tylko granicę szwedzką. W wypadku jej przekroczenia czekało ich internowanie.

W parę godzin po zakończeniu bitwy o Narvik przyszedł rozkaz ewakuacji wszystkich wojsk alianckich z Norwegii. Na froncie zachodnim dogorywała Francja i nasze nadzieje.

Jan Meysztowicz

Na marginesie nowego wydania „Historii filozofii“ prof. Tatarkiewicza

Nareszcie ukazało się nowe wydanie, na razie tylko tomu pierwszego, od dawna już wyczerpanej „Historii filozofii“ prof. Tatarkiewicza*). Książkę bierze się do rąk z prawdziwą przyjemnością: papier doskonały, portrety filozofów wykonane, jak na obecne czasy, w sposób pierwszorzędny. — Wkrótce ma nastąpić nie tylko nowe wydanie tomu drugiego, ale nadto ma się pojawić tom trzeci, poświęcony szczegółowemu omówieniu współczesnych kierunków filozoficznych. Autor, korzystając z uwag kolegów, wprowadził tu i ówdzie nieznaczne poprawki i udoskonalenia. Ale nie o tych poprawkach chcemy mówić; z racji nowego wydania wolimy zwrócić uwagę na całość tego tomu.

Dzieło prof. Tatarkiewicza ma niewiele sobie równych w literaturze światowej. Pod pewnym względem należy mu nawet przyznać wyższość nad innymi. Po szczegółowym omówieniu filozofów każdego okresu następuje zestawienie zagadnień, wyliczenie kwestii spornych i podanie pojęć i terminów należących do tego okresu. — Słowem, mamy przed sobą doskonałe ujęcie syntetyczne.

Prócz „Historii filozofii“ Tatarkiewicza, istnieje też w naszej literaturze historia filozofii prof. Heinricha, ale ta jest niedokończona: obejmuje tylko filozofię starożytną i średniowieczną. Nowością w pracy prof. Heinricha było podanie fragmentów z dzieł filozofów greckich pierwszego okresu kosmologicznego, co czyni ją jednak mniej dostępną jako podręcznik uniwersytecki. Próbę wypisów obejmujących całość rozwoju myśli filozoficznej stanowi książka Ajdukiewicza pt. „Główne kierunki filozoficzne w wyjątkach z dzieł ich klasycznych przedstawicieli“ — która również zasługuje na nowe, rozszerzone wydanie.

Nasuwa się pytanie, czy ewentualnie w przyszłym wydaniu „Historii filozofii“ Tatarkiewicza lub jakiejś innej należało by życzyć sobie uwzględnienia filozofii ludów Wschodu. Przemawia przeciw temu fakt, że są one zbyt silnie przepojone pierwiastkiem religijnym, a przy tym niektóre z nich nie wywierały większego wpływu na rozwój myśli europejskiej, której podstawą była przede wszystkim kultura i filozofia grecka.

Nie jest to jednak motyw dostateczny, aby pomijać milczeniem np. filozofię indyjską, w której pierwiastek czysto rozumowy również odgrywał bardzo wybitną rolę. Wzmiankę o niej należało by umieścić nie przed filozofią grecką, lecz dopiero wtedy, gdy kultura grecka wchodzi w związek z Indiami, a więc przy końcu czwartego wieku przed Chr. I z filozofii indyjskiej należało by podać tylko to, co już wtedy mogło istnieć. W ten sposób umożliwi się śledzenie ewentualnych wpływów wzajemnych i zależności. Kontakt świata greckiego z Indiami nie kończy się na wyprawie Aleksandra Wielkiego do Indii. Król syryjski Seleukos Nikator podejmuje drugą wyprawę, zostają nawiązane stosunki dyplomatyczne. W III w. przed Chr. misjonarze buddyjscy docierają do Syrii i innych królestw hellenistycznych. Państwo syryjskie wprawdzie się rozpada, ale w północno-wschodniej części Iranu powstaje państwo grecko-baktryjskie, rządzone przez dynastię grecką, a jeden z królów tego państwa Menander, panujący pod koniec drugiego wieku przed Chr., przyjmuje buddyzm. Jedna z najbardziej poczytnych książek buddyjskich „Pytania króla Milindy“ (Milindapanho) przedstawia właśnie rozmowę króla greckiego Menandra z mnichem indyjskim Nagaseną. Że istniały także wzajemne wpływy naukowe, tego dowodzi fakt, iż Ptolomeusz w swej geografii pisanej w II. w. po Chr. wymienia położenie geograficzne kilkudziesięciu miejscowości w Indiach, pomimo że w Indiach sam zapewne nie był. Nie jest też wykluczona możliwość wpływów filozoficznych Indyj w czasie, gdy się na Zachodzie krzewił neopitagoreizm i neoplatonizm.

Uwzględnienia w historii filozofii wymaga również pogląd na świat Starego Testamentu. Ta książka, chociaż w zasadzie nie jest dziełem filozoficznym, wywierała wpływ nie tylko na filozofię grecko-żydowską okresu hellenistycznego, ale (łącznie z Nowym Testamentem) na całe późniejsze tysiąclecia. Należało by w historii filozofii rozpatrzyć krytycznie genezę tej książki i wartość tez religijno-metafizycznych w niej zawartych. Idzie o problem, czy rzeczywiście się w niej zawiera monoteizm w rozumieniu filozoficznym, czy też tzw. monolatria, a więc, czy Jehowa jest tylko Bogiem narodowym Żydów, tak samo jak Chamos jest Bogiem Amorejczyków, a Dagon Bogiem Filistynów. W szerokich masach ludu izraelskiego, o ile on dochodzi do głosu w Starym Testamencie, zdaje się dominować monolatria, nie jest od niej zupełnie wolne nawet ustawodawstwo Mojżesza. (Jakże dziwnie trąci monolatrią pierwsze przykazanie: Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną!). Ale u proroków pojęcie Boga występuje w formie coraz bardziej uszlachetnionej, coraz bliższej monoteizmu, chociaż tutaj monoteizm religijny nie jest jeszcze monoteizmem filozoficznym. Bo dlaczegoż Istota Najwyższa ma być czczona przez wszystkie narody tylko u stóp Syjonu, a nie gdziekolwiek indziej? Jakże marnie wyglądałoby pojęcie Boga bez filozofii greckiej! To samo należy powiedzieć o sprawie nieśmiertelności duszy. Doktryna ta nie była w ogóle w Starym Testamencie dostatecznie rozwinięta. Z pewnych ustępów Starego Testamentu domyślamy się, że lud żydowski wierzył w jakiś świat podziemi (Szeol), do którego zstępowały dusze zmarłych. Ale ów Szeol nie był pomyślany jako miejsce kary lub nagrody, podobnie jak Hades grecki, gdyż Jehowa nie troszczył się wcale o dusze zmarłych, a za grzechy karał ludzi już za życia, mszcząc się aż do czwartego pokolenia. Najciekawsze jednak, że Mojżesz nie wyzyskał tej wiary ludowej dla celów swojego ustawodawstwa.

Nauka o zmartwychwstaniu, przyjmowana przez niektóre odłamy żydostwa, nie jest identyczna z tezą o nieśmiertelności, bo wiara w zmartwychwstanie da się bronić nawet na podłożu materialistycznym, jak to jest widoczne w doktrynie wiecznych powrotów, której ślady spotykamy również w Starym Testamencie. („Wracajcie synowie człowieczy, albowiem tysiąc lat... jako dzień wczorajszy, który przeminął.“ — „Psalmy.“ — Przekład Wujka: „Nawracajcie się synowie człowieczy“ — nie odpowiada tekstowi hebrajskiemu). Wyraźne sformułowanie doktryny o nieśmiertelności duszy występuje dopiero w Księdze Mądrości, ale ta nosi już widoczne piętno wpływów filozofii greckiej, głównie platońskiej.

Sprawy te na wydziałach teologicznych są inaczej traktowane przez teologów katolickich, inaczej przez protestanckich, inaczej może przez Żydów. Ale filozofom przystoi trzymać się krytyki naukowej, nie oglądając się na ortodoksję tego czy owego wyznania. Nie podobna zaś pomijać milczeniem książki, która wywierała tak silny wpływ na poglądy późniejszych filozofów średniowiecza. W idealnym podręczniku historii filozofii rad bym widzieć omówienie genezy Starego Testamentu wedle rezultatów krytyki naukowej: uczynić zaś to należy w chwili, gdy się zaczyna mówić o filozofii grecko-żydowskiej. Wszak krytyka naukowa Pisma św. wyszła właśnie od filozofów — (Porfiriusz w starożytności, Spinoza w czasach nowożytnych).

Omawiając genezę filozofii chrześcijaństwa, autor w sposób mistrzowski przedstawia przejście od nowej wiary do nowej filozofii. Ale i tutaj mielibyśmy coś do zarzucenia. Należało by podkreślić, że razem z chrześcijaństwem, a nawet już przed nim, w okresie hellenizmu, objęła Europę nowa fala przesadnego supranaturalizmu. Pierwiastek nadprzyrodzony istniał niewątpliwie również w wierzeniach ludu greckiego. Ale kultura filozoficzna Greków sprowadziła ten pierwiastek do właściwej miary. Chrześcijaństwo natomiast wzmogło tę falę supranaturalizmu do niebywałych rozmiarów, co mimo wielu dodatnich stron chrześcijaństwa było czynnikiem niewątpliwie ujemnym, a przynajmniej dla filozofii w wysokim stopniu szkodliwym. Pewne otrzeźwienie i odwrót nastąpiły dopiero w XIII wieku, kiedy nareszcie dokonano rozgraniczenia tajemnic wiary od tego, czego bronić może filozofia jako treści teologii naturalnej. Był to dodatni skutek zwycięstwa wpływów arystotelizmu. Jakkolwiek ograniczenie praw rozumu przez tajemnice wiary i doktrynę świętą („sacra doctrina“) było w ramach arystotelizmu również trudne do zrozumienia, jednak zwolniło przynajmniej filozofię od dowodzenia rzeczy niemożliwych. Linia demarkacyjna przeprowadzona przez św. Tomasza z Akwinu była jednak atakowana przez późniejsze szkoły scholastyczne, a więc skottystów i okhamistów. Aż wreszcie nastąpiło załamanie scholastyki w wieku XVI, chociaż ślady jej widoczne są jeszcze w w.XVII, a zasadniczo nowe nastawienie wytwarza dopiero wiek XVIII: encyklopedyści francuscy, Hume i Kant. Jeśli się mówi jeszcze o granicach poznania ludzkiego, o zdaniach nierozstrzygalnych, to chodzi tu o granice, które tylko rozum sam potrafi stwierdzić, nie mogą to być granice narzucone nam przez czynniki zewnętrzne, obce dociekaniom rozumowym.

Zygmunt Zawirski

*) **Władysław Tatarkiewicz**, prof. Uniw. Warsz. Historia filozofii. Tom pierwszy. Filozofia starożytna i średniowieczna. Wydanie III. (Kraków), „Czytelnik“, 1946: str. 415 i 1 nl.

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK“ PRAGNĄC SIĘ PRZYCZYNIĆ DO OŻYWIENIA TWÓRCZOŚCI LITERACKIEJ USTANOWIŁA

COROCZNĄ NAGRODĘ »ODRODZENIA«

NAGRODĘ TĘ PRZYZNAWAĆ SIĘ BĘDZIE KAŻDEGO ROKU W DNIU 22 LIPCA, DNIU ŚWIĘTA ODRODZENIA POLSKI, ZA NAJWYBITNIEJSZY TOM PROZY (POWIEŚĆ, OPOWIADANIA, KRYTYKA, WSPOMNIENIA) OGŁOSZONY DRUKIEM PO 1 WRZEŚNIA 1939 R.

W ROKU 1946 JURY W SKŁADZIE: KAZIMIERZ CZACHOWSKI, MARIA DĄBROWSKA, JULIAN KRZYŻANOWSKI, WACŁAW KUBACKI, KAROL KURYLUK, STANISŁAW ŁEMPICKI i KAZIMIERZ WYKA, PRZYZNAŁO PIERWSZĄ NAGRODĘ „ODRODZENIA“ W WYSOKOŚCI 100.000 ZŁ. TADEUSZOWI BREZIE ZA POWIEŚĆ „MURY JERYCHA“.

SKŁAD JURY I WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY ZOSTANĄ PODANE DO WIADOMOŚCI 1 MAJA BR.

HELENA USIJEWICZ

Ludzie z czystym sumieniem

„Ludzie z czystym sumieniem" — to tytuł opowieści Piotra Werszyhory o sławnej armii radzieckich partyzantów, którzy przez lata całe dokonywali śmiałych wypadów na głębokim zapleczu niemieckiego okupanta, pod dowództwem bohaterskiego Sydora Kowpaka.

Tytuł książki dokładnie określa temat utworu. O wyniku wojny zadecydowała nie tylko materialna potęga państwa radzieckiego. Powodzenie zależało również w wielkiej mierze od moralnej przewagi ludzi radzieckich. Zwycięstwo nad niemieckim faszyzmem było nie tylko zwycięstwem zbrojnym: było to też zwycięstwo najbardziej ludzkiego ustroju społecznego — socjalizmu nad najbardziej nieludzkim ustrojem — faszyzmem.

Dziś, gdy walczymy o trwały pokój i zwycięstwo demokracji, ważną jest rzeczą uświadomić sobie, co znaczyło mieć „czyste sumienie" w wojnie z faszyzmem, co jest powinnością uczciwego człowieka. Książka Werszyhory wykazuje, o ile odmienne są współczesne pojęcia czci i sumienia od starych mieszczańskich pojęć uczciwości i rzetelności. Spróbujmy uzasadnić naszą myśl przy pomocy konfrontacji literackiej.

Bohater udałej powieści angielskiej Greenwooda „Mister Banting w dniach pokoju i wojny" to pracowity, oszczędny, sumienny urzędnik. Kiedy wojna podeszła pod próg jego domu, a raczej kiedy rozszalała nad jego dachem — mr Banting wypełnił swoją powinność tak, jak ją pojmował i jak ją, być może, pojmowała większość Anglików. Znosił mężnie wszelkie niedostatki, bez przerwy jeździł do pracy do płonącego Londynu, wraz z swymi sąsiadami bronił dzielnic ojczystego przedmieścia przed bombami i pożarami. Z okrzykiem „Bantingowie, naprzód!" wraz z córką rzucił się, by ratować ludzi z płonącego rumowiska.

Powieść Greenwooda kończy się apoteozą przeciętnego Anglika, broniącego „swego domu — swej twierdzy". Powieść ta o tyle realistycznie maluje charaktery, że łatwo sobie można wyobrazić, co porabia dziś mr. Banting. Powrócił do dawnej pracowitości, jeszcze większej oszczędności (czasy są tak ciężkie!) i znów jak dawniej stał się ograniczony. Naturalnie marzy o wiecznym pokoju i wierzy święcie, że bomba atomowa w ręku Anglosasów — to gwarancja tego wiecznego pokoju. Obronił swój dom rodzinny, i byłby niezmiernie oburzony, gdyby mu ktoś powiedział, że jeśli chce utrwalić jego bezpieczeństwo, winien, powiedzmy, bić się jeszcze o oswobodzenie Hiszpanii spod faszystowskiego jarzma, czy o zdławienie nowego ogniska faszyzmu w Grecji, znajdującego tak gorliwych obrońców w angielskich siłach zbrojnych. Pomysły takie uznałby na pewno za zamach na porządek społeczny, za niebezpieczną, destruktywną propagandę. Wojna nie zburzyła ani jednego z jego przesądów. A przecież te przesądy właśnie, wykorzystywane przez ciemne siły reakcyjne państw kapitalistycznych w celu wywoływania nowych wojen, ujarzmiają narody, każą „bantingom" ciągle na nowo poddawać się wszystkim okropnościom wojny totalnej.

W książce Piotra Werszyhory możemy spotkać ludzi z takim właśnie bantingowskim pojmowaniem czystego sumienia i obowiązku żołnierskiego. Weźmy np. takiego słowackiego podpułkownika Józefa Husara, którego oddział wojskowy wchodził w skład armii niemieckiej. Żywi on sympatię do sowieckiej armii partyzanckiej Kowpaka, działającej na głębokim zapleczu niemieckim, ale stanowczo odmawia połączenia się z nią. Mówi do partyzantów:

„Nie strzelamy do was, gdy jesteśmy sami. Wszyscy nasi żołnierze trzymają stronę Rosjan. Rosjanie to nasi bracia. Pomagamy im, jak możemy. Na razie nie możemy nic więcej zrobić. Przecież my mamy rodziny, a jeśli przejdziemy do was, Niemcy je zniszczą. Bijcie Niemców! My ich też nienawidzimy. Nie będziemy wam w tym przeszkadzać".

Nie można, oczywiście, powiedzieć, by podpułkownik Husar czy jego żołnierze byli ludźmi bez sumienia. Ale ciasne mieszczańskie ideały i ograniczone normy moralne pozbawiły ich sumienia tych właściwości, które były niezbędne, by móc osiągnąć zwycięstwo nad faszystami.

U Werszyhory znajdziemy cierpkie, choć sprawiedliwe słowa pod adresem „rzetelnych" mieszczuchów. Ale nie ci ludzie są bohaterami tej książki i nie o takie sumienie w niej chodzi.

W „partyzanckim wojsku" legendarnego Ukraińca Kowpaka zeszli się ludzie najróżniejsi, ludzie o różnych charakterach, wykształceniu, o różnych kolejach życia. I wszyscy oni stworzyli jeden potężny i zdyscyplinowany kolektyw, pod nakazem jedynie własnego sumienia. Gdzie więc leżała tajemnica niezwykłej zdolności bojowej tej armii, która przez lata nie wychodziła z niemieckiego zaplecza?

„W każdej formie ludzkiej dyscypliny, w partyjnej, wojskowej czy państwowej — pisze Werszyhora — jest pewna doza przymusu, w jednej w większym, w innej w mniejszym stopniu. Jedynie na tyłach wroga, w oddziele partyzanckim, jest jeden tylko rodzaj dyscypliny: dyscyplina opierająca się na autorytecie dowódcy."

Jakież więc mają być cechy dowódcy, by mógł zdobyć wielki autorytet? Jakimi ludźmi żołnierze, którzy dobrowolnie i bez sprzeciwu podporządkowują się temu autorytetowi?

Opisując swą służbę w oddziele Kowpaka, Werszyhora maluje wiele interesujących postaci. Ale dwie z nich wyraźniej niż inne wybijają się na pierwszy plan. Typowa ludowa postać dobrodusznie chytrego „diadka" ukraińskiego Sydora Kowpaka i postać komisarza wojska partyzanckiego Rudniewa, komunisty, kadrowego oficera radzieckiego, człowieka wykształconego.

Zdolny komisarz wojskowy Rudniew, uważny i czujny wychowawca żołnierzy, działał w warunkach niezwykle skomplikowanych, nie posiadając tych środków, jakimi rozporządza pierwsza lepsza regularna armia. Jego zadanie było bez porównania trudniejsze niż zadanie każdego innego dowódcy. Mimo to dyscyplina w oddziałach Kowpaka była wzorowa i przestrzegali jej sami żołnierze.

Rudniew oddziaływał na żołnierzy osobistym przykładem, ludzkim stosunkiem do każdego człowieka oraz siłą swego prostego, szczerego słowa. Słowa jego wywierały głębokie wrażenie nie tylko dzięki sile jego przekonań; każdy żołnierz miał możność przekonać się o tym, że u Rudniewa czyny zgodne były ze słowami, że wymagając wiele od podwładnych, Rudniew dziesięćkroć więcej wymagał od siebie.

Walka o prawdę, o wielką ludzką prawdę, wymaga ludzi uczciwych, szczerych, prostolinijnych. Postępek jednego człowieka może w pewnych okolicznościach okazać się niebezpiecznym dla całego zespołu.

W wojsku Kowpaka był np. sierżant Karpenko, dowódca kompanii zwiadowczej, człowiek nieprzeciętny, rwący się do wielkich czynów, ale wybitny indywidualista, który lubił podkreślać swoją niezależność. Zdawało mu się, że — ryzykując w każdej chwili życie — on i jego ludzie mają poza tym prawo żyć, jak im się podoba. Taka postawa niebezpieczna w ogólności, była szczególnie niebezpieczna w warunkach, w jakich znajdowali się partyzanci.

Karpenko, uczciwy i dzielny człowiek, znany z heroizmu w walce, wpada nagle we wściekłość z tego tylko powodu, że Rudniew, licząc się z ciężką zimą, ograniczył wydawaną żołnierzom rację konfitur. Dochodzi do tego, że Karpenko odgraża się przed kompanią, że „ukatrupi komisarzynę".

Nawet dobroduszny Kowpak, wiele wybaczający ludziom odważnym, dowiedziawszy się o tym chciał własnoręcznie, przed szeregiem, rozstrzelać Karpenkę. Trzeba było takiej znajomości ludzi, jaką posiadał Rudniew, by załatwić sprawę nie drogą represji, lecz odwołując się do sumienia Karpenki i jego żołnierzy.

Użył on środka mocnego i ryzykownego: oto udał się wieczorem do ziemianki Karpenki i jego kompanii, bez broni, i wprost, bez ogródek, rozmówił się z Karpenką. Efekt był piorunujący. Przez długi czas Kowpak i Rudniew notowali tylko odważne czyny Karpenki i jego kompanii.

Żywy, ludzki stosunek do człowieka nie wypływa u Rudniewa z wrodzonej dobroci; kiedy wymagał tego interes walki, Rudniew potrafił być bezwzględny, nieubłagany.

Jeden z dowódców kompanii zasiedział się we wsi i nie wysadził mostu, który wedle rozkazu miał zniszczyć. Przez most przeszły samochody, piechota i czołgi wroga, — oddział partyzancki znalazł się w ciężkiej sytuacji. Winowajca był jednym z lepszych, dzielnych dowódców. Nawet nieubłagany w takich razach Kowpak poważnie się wahał, czy ma ukarać surowo winnego. Jednakże Rudniew się nie wahał. Sam podyktował rozkaz o rozstrzelaniu, sam zdjął z piersi skazanego order i był obecny przy wykonaniu wyroku.

„Jechałem konno—opowiada Werszyhora o wieczorze tego dnia. — Kolumna wyruszyła ze wsi w step... Przejeżdżając obok komisarza mimochodem spojrzałem nań i w świetle wschodzącego księżyca ujrzałem, że Szymon Wasylowicz (Rudniew) płakał".

Rudniew uważał, że skoro sprawa dotyczy życia powierzonych mu ludzi, nie ma on prawa przebaczyć nawet człowiekowi, który jest mu drogi.

JERZY ANDRZEJEWSKI

(3)

ZARAZ PO WOJNIE

POWIEŚĆ

Od czasu do czasu wątły budżet tkackiego warsztatu ratowała Rozalia wyprawami na wieś po żywność. Później, gdy pobita raz przez żandarmów zapadła na zdrowiu na dłuższy okres, podróże za tzw. szmuglem wzięła na siebie pani Alicja.

Tymczasem Osiedle szybko się zmieniło w dzielnicę niemiecką. Najlepsze wille pozajmowali dla siebie miejscowi dygnitarze, gestapowcy, wojskowi i wyżsi urzędnicy, w pozostałych domach rozlokowały się ewakuowane z bombardowanych Niemiec rodziny, a w starych blokach spółdzielczych, odnowionych i przebudowanych, zakoszarowano Hitler-Jugend. Przez cały czas okupacji pani Alicja nie zajrzała na Osiedle. Przesuwały się jesienie i wiosny. Każda wiosna, dopóki była odległa, zdawała się zapowiadać koniec wojny. Gdy mijała, nadzieje zawiedzione na niej zwracały się ku następnej. Okazywało się, że wśród cierpień zbyt okrutnych i wobec nieustannie grożącej zagłady łatwiej ludziom podzielić czas na rozczarowania niż zmierzyć czas nadziei całkowitą prawdą czasu.

Antoni żył, lecz wiadomości od niego były coraz rzadsze i lakoniczniejsze. Alek z dwunastoletniego chłopca, którym był w chwili wybuchu wojny, stał się nagle doirzałym chłopakiem. Wchłonięty przez Warszawę Andrzej w parę tygodni po upadku powstania zjawił się pewnego dnia w wiadomym mieszkaniu pożydowskim. Zmieniły go te lata. Pani Alicji wydał się zawstydzająco obcym. Mało, nic prawie o sobie nie mówił, lecz wraz ze swymi długimi butami, ze swoją wychudzoną, pociemniałą twarzą, ze swym śmiechem cynicznym i z ruchami nie pasującymi do ścian obitych niebieską tapetą w różowe kwiaty, wniósł niepokój tego całego obcego świata, w którym żył przez kilka lat i którego wiele nadziei, wzlotów i klęsk musiał zapewne doświadczyć. Zresztą nie długo pozostał na miejscu. Z początkiem listopada, gdy naszła na Ostrowiec nowa fala obław i aresztowań, Andrzej zapadł się w głąb ostrowieckich lasów.

Aż wreszcie...

Front zbliżył się do Ostrowca gwałtownie i niespodziewanie. Ponieważ na Śreniawie usiłowali Niemcy stawiać opór, w ciągu dwóch dni i nocy miasto znalazło się pod artyleryjskim obstrzałem. Trzeciego dnia o świcie zahuczały katiusze i równocześnie od strony Białej i od strony Osiedla poczęła Czerwona Armia forsować rzekę. W południe pierwsze czołgi sowieckie wjeżdżały do Ostrowca.

Pani Alicja wprost nicomal z piwnicy pobiegła na Osiedle. Miasto, podpalone w ostatniej chwili przez uciekających Niemców, stało w ogniu i w dymach. Płonął rynek, koszary, gmach więzienia oraz ulica Ogrodowa, gdzie miało swoją siedzibę gestapo. Był duży, trzaskający mróz przy niebie słonecznym i wyiskrzonym. Nikt ognia na razie nie gasił. Brakowało wody. Ale wszystka prawie ludność wyległa na ulice. Płakano. Rozbijano i rabowano sklepy. Przed składami Monopolu spirytus z rozbitych kadzi płynął rynsztokiem, zalewając niebieskawym strumieniem trupy dwóch nagich niemieckich żołnierzy. Wycia pijanych mieszały się z grzechotem wiwatujących automatów i z suchym klaskiem pojedynczych wystrzałów. Cały horyzont w stronie zachodu dygotał jednostajnym i głuchym dudnieniem artylerii.

Różne obrazy z tego dnia powracały ku pani Alicji równie wyraźne i natarczywe, jak wyraźna i uporczywa żyła w niej pamięć o tamtym, dawniejszym dniu jesiennym. Ileż razy, przechodząc przez most na Śreniawie, przypominała sobie żołnierzy sowieckich, którzy nie chcieli jej przepuścić na drugą stronę. Od zamarzniętej rzeki dmuchał lodowaty wiatr. Głównym traktem bez przerwy ciągnęły czołgi, kolumny zmotoryzowane, motocykle, artyleria. Wreszcie, dzięki dobremu akcentowi rosyjskiemu, udało się jej przedostać na Osiedle. Wśród huku i szczęku toczącego się żelastwa wspinała się pod górę, chwilami biegła prawie. Co chwila zaczepiali ją i zatrzymywali żołnierze. Skrzypiał śnieg. Kłęby pary buchały od ludzi. W kilku miejscach, w poprzek trotuaru, leżały zabite konie, sztywne i sine, wzdęte od mrozu. Dalej porozrywane zasieki, opustoszałe rowy przeciwczołgowe, jeszcze dalej, już przy pierwszych domach — szkło, w powietrzu białe tumany pierza. Pijani żołnierze plądrowali wille. Jedna z nich płonęła wysokim i trzaskającym słupem ognia. Nieopodal wygrywano na harmonii rytmiczną piosenkę wojenną. Potem przyszła noc.

Pani Alicja zabarykadowała się w swojej willi, lecz ani na chwilę nie zasnęła. Szyb nie było i pomimo zamkniętych okiennic wiatr gwizdał po pokojach. Bała się zapalać światła. Ciągle dobijali się różni żołnierze. Ich krzyki i tęskne, stepowe śpiewy rozbrzmiewały dokoła w ciemnościach. Raz po raz serie wystrzałów rozdzierały niespokojną noc. Nad Ostrowcem stała olbrzymia łuna. W jej nieruchomej głębi, jak gdyby na dnie płonącej nocy, dygotał nieprzerwany pogłos dział.

III

Teraz była wiosna i czas najpiękniejszy. Świeża, majowa zieleń, białymi obłokami kwitnących drzew wzniesiona lekko ponad ziemią, skrywała na pierwszy rzut oka wojenne zniszczenia. Ale pani Alicja na pamięć znała okaleczenia swego domu. Myślała o nim tak prawie, jak się myśli o ciężko chorym człowieku. Cały jego organizm, niegdyś sprawny i uregulowany, uległ teraz przeprzężeniu i wymagał troskliwej i wszechstronnej kuracji. Z konieczności natomiast, po prostu z braku pieniędzy, poddawano go tylko zabiegom doryweczym.

Najpierw, jeszcze przy największych mrozach, popękały rury wodociągowe. Szyb nie było za co wstawić. Nieopalane mury nasiąkały wilgocią. Mnóstwo drobnych uszkodzeń domagało się natychmiastowej reperacji. Przeciekał dach i dwa pokoje na górze przedstawiały obraz zupełnego zniszczenia. Na zewnątrz, poznaczony odpryskami pocisków, z oknami zabitymi dyktą i z postrzępionym dachem, jakżeż opłakanie wyglądał ten wypielęgnowany niegdyś dom!

Pani Alicja całe dnie spędzała przy tkackim warsztacie, lecz pomimo dużego popytu na wyroby samodziałowe, nie mogła wszystkim brakom zaradzić. Poza tym ogarniało ją chwilami tak śmiertelne znużenie, iż nie znajdowała w sobie dość sił, a co najgorsze — dość chęci, aby przełamać ogarniające ją zniechęcenie. Jeśli do tej pory żyła napięciem nerwów, teraz, gdy już nie musiała spędzać dni i nocy na przeciwstawianiu się uczuciom bezustannego zagrożenia, coraz częściej popadać poczęła w stan zupełnej pustki wewnętrznej. Czasem, zdjęta nagłym przerażeniem, wyrywała się z tego odrętwienia i w gorączkowym i niespokojnym mnożeniu przed samą sobą przeróżnych obowiązków i zajęć szukała ratunku. Ale tych obowiązków i zajęć miała tak wiele, że wśród rozpętanej pracowitości opadały jej ręce. Bo ku czemu to wszystko ostatecznie prowadziło, ku jakiemu życiu, ku jakiej przyszłości? Przeszły wprawdzie lata najgorsze, lecz teraz u samego początku nowych dni okazało się, że tamte lata tyle zburzyły, tyle dokonały spustoszeń i tak przygniotły człowieka i uczyniły go obolałym, że ich siła niszczycielska, jak gdyby jeszcze niezaspokojona, przekroczyła granicę wydarzeń, zatruwając sobą nawet przyszłość, która do tej pory w najcięższych chwilach wspierała wbrew wszystkiemu nadzieję.

Jak zwykle obeszła dom dokoła i zapukała do drzwi kuchennych. Dzwonek od frontu nie działał i przygłucha Rozalia nie zawsze dosłyszeć mogła odległe stukanie. Pani Alicja ciągle się nosiła z zamiarem dorobienia większej ilości kluczy od drzwi frontowych, na razie były tylko dwa i oba mieli chłopcy.

Rozalia otworzyła po dłuższej chwili. Była to tęga, w sześćdziesiątych latach kobieta, o ogromnej, czerwonej twarzy, malutkich oczach, siwa i gładko uczesana. Jak wszyscy przygłusi, mówiła bardzo głośno.

— Był kto? — spytała pani Alicja.

Okazało się, że była pani Staniewiczowa, jeszcze w czasach przedwojennych zaprzyjaźniona z Kosseckimi majorowa, towarzyszka pani Alicji w wyprawach po słoninę i nabiał.

— Dawno?

— A z godzinę będzie! — wykrzyknęła Rozalia. — Ale zaraz poszła sobie. Pan sędzia nie chciał przyjąć.

Werszyhora bezustannie podkreśla wysoce etyczną postawę Rudniewa wobec życia ludzkiego i ludzkiego zespołu. Sam autor jest jednym z bohaterów opowiadania. I jego charakter w czasie kilkuletniego pobytu w oddziele Kowpaka rozwijał się w tym właśnie komunistycznym, głęboko ludzkim kierunku.

Jedno z największych osiągnięć Werszyhory polega na tym, że czytelnik jego książki musi dojść do konkluzji, iż pomiędzy postępowym humanizmem i postępową demokracją istnieje wewnętrzny i istotny związek. Związek ten widoczny jest w każdej sprawie, zarówno w czasie wojny, jak i w czasach powojennych.

Weźmy np. zagadnienie stosunku żołnierzy frontowych do pozafrontowych, kombatantów, wyobrażających sobie, że obrona ojczyzny z bronią w ręku daje im jakieś szczególne przywileje wobec reszty narodu, wywyższa ich jako swego rodzaju „elitę“ frontową, pozwala im decydować w jego najbardziej żywotnych sprawach.

To błędne mniemanie było rozpowszechnione wśród znacznej części żołnierzy frontowych na Zachodzie po pierwszej wojnie światowej. Widać to jeszcze tu i ówdzie i w dzisiejszej literaturze zachodniej. Nie wolno zapominać, że nieporozumienie to wykorzystywały niejeden raz po pierwszej wojnie światowej koła reakcyjne, np. włoscy faszyści, którzy chętnie widzą wszystko, co rozbija jedność w narodzie, wprowadza antagonizmy do klasy pracującej.

Ci, których Werszyhora nazywa ludźmi z czystym sumieniem, nie mają wcale takich pretensji. Nie chwalą się swymi zasługami, nie uważają, że cały naród winien się wobec nich czuć zobowiązany za ich bohaterstwo. Wojenno-partyzancka moralność Kowpaka zamyka się w jednym zdaniu: „Trzeba robić tak, jak chce tego naród“.

Helena Usijewicz

STEFAN PAPEE

Mój Mickiewicz

Numer gwiazdkowy „Młodej Rzeczpospolitej“, poświęcony Adamowi Mickiewiczowi, wywołał żywe echo wśród młodzieży. Na Kursach Nauczycielskich i w Liceum Pedagogicznym w Krakowie wyzyskałem to zainteresowanie jako temat zadania szkolnego pt. „Mój Mickiewicz“.

Ciekawiło mnie, jaki był stosunek młodzieży do Mickiewicza w okresie okupacji, jak uczono się dzieł poety na tajnych kompletach, jakie utwory Mickiewicza oddziaływały wówczas na młodzież najsilniej i jaki jest obecnie bezpośredni wpływ Mickiewicza na przyszłych nauczycieli.

Dla zapewnienia wypowiedziom zupełnej swobody zapowiedziałem, że zadania można oddawać także bezimiennie. Stąd przy niektórych wypowiedziach podaję tylko godła.

Zebrany materiał może zainteresować i szersze koła czytelników, dlatego ogłaszam go w „Odrodzeniu“, przynosi bowiem, obok zwykłych młodzieńczych egzaltacyj na zadany temat, wiele bystrych spostrzeżeń i ważnych przyczynków do historii przeżyć młodzieży polskiej w czasie wojny światowej.

B. Schülder (II lic.) pisze: „Temat rzucony na lekcji języka polskiego w pierwszej chwili zaskoczył mnie. Czyż stosunek mój do Mickiewicza i jego twórczości jest stały i pewny? Nie, nie potrafię odpowiedzieć od razu na to pytanie...“

Kilkoro uczniów podziela te wątpliwości i próbuje nawet pokrótce odtworzyć, jak wypadło pierwsze zetknięcie się ich z dziełami Mickiewicza. Okazuje się przy tym, że zbyt wczesne poznawanie utworów poety w szkole powszechnej jest raczej niekorzystne.

L. Michalus (II lic.) notuje: „Pierwszy raz z dziełami Mickiewicza zetknęłam się w VI kl. szkoły powszechnej. Czytałam wówczas „Odę do młodości“ i „Pana Tadeusza“. Utwory te były wówczas dla mnie niezrozumiałe i uczułam dziwną niechęć do ich autora. Przez dłuższy czas w ogóle nie chciałam czytać jego utworów...“

„Bezimienna“ z Kursów Nauczycielskich dopowiada: „Mając lat 12 dużo słyszałam o Mickiewiczu jako największym i najlepszym poecie naszym. Postanowiłam przeczytać „Pana Tadeusza“. Uczucia moje po przeczytaniu tego utworu uległy zmianie raczej na niekorzyść autora. Nie zrozumiałam piękna i wartości utworu. Myślałam sobie wówczas: albo za dużo Mickiewicza jako poetę wychwalają i nadmierne wartości przypisują jego dziełom, albo ja jeszcze nie dorosłam do jego dzieł. Myśl ta nie dawała mi spokoju... Będąc w II kl. gimnazjalnej zaczęłam znów interesować się Mickiewiczem i ze zdumieniem spostrzegłam i odczułam, że innymi oczyma patrzę teraz na niego i na jego utwory.“

Kilkoro młodzieży narzeka, że zbyt drobiazgowy rozbiór wierszy Mickiewicza w szkole i to przez nauczyciela małowrażliwego na artyzm poezji zniechęcił ich na długo do autora „Dziadów“. Natomiast St. Cichy (II lic.) podnosi zasługę nauczyciela-entuzjasty w zbliżeniu ucznia do poety: „Już jako uczeń szkoły powszechnej, dzięki doskonałej nauczycielce języka polskiego, miałem możność poznać niektóre utwory Mickiewicza. Jakże wielkie wrażenie wywarła na mnie „Oda do młodości“, tyle tam znalazłem wzniosłych myśli, tyle zapału do pracy twórczej...“ Podobnie pisze uczennica X z Kursu Nauczycielskiego: „W klasie IV dostaliśmy profesora, doskonałego polonistę, który tak dużo uczucia wkładał w każdy rozbiór dzieła i tyle miał w sobie idealizmu, że porwał nas swym umiłowaniem... Odtąd mój stosunek do dzieł Mickiewicza uległ gruntownej przemianie. Dostałam na własność zbiór dzieł Mickiewicza i kiedy czułam się zmęczona, po odrobieniu lekcyj, brałam książkę poezyj do ręki i czytałam z zajęciem słowa tak dawno pisane, a tak zawsze aktualne...“

W czasie okupacji niemieckiej nie było łatwo o dzieła Mickiewicza. Ale ta niedostępna i zakazana książka była dla młodzieży tym droższa.

J. Dąbrowska (II lic.) wyznaje: „Poezja Mickiewicza była dla mnie wszystkim w czasie okupacji. Jedyną moją rozrywką było czytanie jego dzieł“. Danuta P. (II lic.) dodaje: „Rozumiałyśmy lepiej jego tęsknotę za Ojczyzną... bo i my tęskniłyśmy wówczas za Ojczyzną, którą nam wojna zabrała, a wróg nie pozwalał się nam nawet uczyć polskiej literatury...“

W tym strasznym okresie okupacji z dzieł Mickiewicza najsilniej bodaj że przemawiały do młodzieży: „Konrad Wallenrod“, wiersz „Do matki Polki“, „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“, III cz. „Dziadów“ i „Pan Tadeusz“.

„Konrad Wallenrod“ uczył płomiennej miłości ojczyzny, poświęcenia własnego szczęścia dla dobra sprawy, nienawiści do Niemców, podstępu, podpowiadał nawet konieczność chwytania się „jedynej broni niewolników“ — zdrady.

„Z jakim przejęciem — pisze jedna z kursistek — powtarzałyśmy na tajnych kursach przerażające słowa z wiersza „Do matki Polki“:

Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa ...bez zmartwychpowstania.

Dla bezdomnych, tułających się po całej Polsce, gnanych do przymusowej pracy w Niemczech najdroższą ewangelią były znów „Księgi Pielgrzymstwa“.

Kilkoro utożsamia własne przeżycia z okresu okupacji z cierpieniami młodzieży wileńskiej, opiewanymi w III cz. „Dziadów“. Kr. Szeligowska (II lic.) pisze: „Bardzo bliskim był mi Mickiewicz w latach niewoli. Przeżywając aresztowania najbliższych, śledztwa, wywozy, wystawania przed kratą więzienia, miałam wrażenie, że wróciły czasy opisywane tak realnie w III cz. „Dziadów“. Dziwne, jak pewne wypadki stale się powtarzają...“

Na temat „Pana Tadeusza“ wypowiedzi są bardzo gorące. To było dla młodzieży pod okupacją „centrum polszczyzny“,

Tam się człowiek napije, nadysze Ojczyzny

„Jedna z wielu“ z Kursów pisze: „Wartość Mickiewicza oceniłam dopiero w czasie okupacji niemieckiej, kiedy kraj nasz przeszedł w ręce odwiecznego wroga. Często myślą uciekałam do „Pana Tadeusza“. Przed oczyma stale ukazywała mi się sylwetka Jacka Soplicy, jako działacza narodowego. Ilekroć weszło gestapo w progi naszego domu, czy po to, aby od nas coś wydrzeć, czy też by zmusić kogoś do wyjazdu na roboty do Niemiec, — pamiętam doskonale tę chwilę, kiedy zabrali ojca za siostrę i brata, którzy stawiali opór przed wyjazdem, — wtedy tęskniłam za wolną Ojczyzną i na myśl przychodziły mi słowa z „Pana Tadeusza“ o tej, którą stracił... Mimo że byłam cały czas w domu i na polskiej ziemi, zdawało mi się wtedy, że jestem na obczyźnie. Odczuwałam brak polskiej szkoły, do której tęskniły setki tysięcy młodzieży. Mickiewicz był mi wtedy wzorem cierpienia, głębokiego patriotyzmu, wzorem dobrego Polaka.“

R. Gierczyńska (kurs) pisze: „Matka moja pochodziła ze Żmudzi. Przywędrowała przymusowo aż pod Kraków. Odzwierciedlenie swej tęsknoty do stron rodzinnych znajdowała w utworach Mickiewicza.

W długie wieczory zimowe, wraz z całą rodziną zebrani przy stole wsłuchiwaliśmy się w poezje Mickiewicza jak w najpiękniejszą muzykę.

Każdy obraz z „Pana Tadeusza“, malowany barwnym słowem, powstawał w mej wyobraźni i był bliski, znany i miły. Pola pozłacane pszenicą, posrebrzane żytem, polna grusza i dworek szlachecki, tonący w zieleni topoli, były dla mnie nie tylko przedmiotem poezji zawartej w pięknie napisanych księgach „Pana Tadeusza“, to był też obraz miejsc rodzinnych mych rodziców. W dziecięcej naiwności sądziłam, że „Pan Tadeusz“ napisany był specjalnie dla nas. W latach późniejszych znalazłam w utworach Mickiewicza wyraz swoich dążeń i ideałów młodzieńczych...“

Ciekawe przeżycia z czasu przymusowego pobytu na robotach w Niemczech opisuje Eugeniusz Kaczmarczyk: „Po ukończeniu szkoły powszechnej czytałem raz „Grażynę“ i „Konrada Wallenroda“ i wtedy zacząłem rozumieć, kto to jest Mickiewicz... Gdy znalazłem się na robotach w Niemczech, zapomniałem o Mickiewiczu. Postać Mickiewicza dopiero wtedy stanęła żywo przede mną, gdy usłyszałem raz z ust Francuza, który nic nie umiał po polsku,

---

Pani Alicji zrobiło się przykro. Poczuła się jednak zobowiązana do solidarności.

— Pan jest bardzo zmęczony — wyjaśniła. — Potrzebuje spokoju, to dlatego.

Rozalia wzruszyła ogromnymi ramionami.

— Pewnie, że dlatego. Czy ja sama nie wiem? Pewnie, że musi mieć spokój.

Pani Alicja przeszła do hallu. Był pusty, ciemny i obcy. Za nią podążyła Rozalia.

— Tylko pani Staniewiczowa była?

— Fabiański wełnę przywiózł.

— Przyniósł? — ucieszyła się pani Alicja. — To doskonale! Gdzie jest?

— Poszedł.

— Ależ nie Fabiański, Rozalio! Pytam, gdzie jest wełna?

— Wełna? A skąd ja mogę wiedzieć — obraziła się tamta. — Zabrał.

— Jakto zabrał?

— Powiedział, że nie może zostawić, bo musi zaraz dostać pieniądze.

Pani Alicja załamała ręce.

— Boże, co to za nieużyty człowiek! Przecież zawsze zaraz mu płacę.

— Mówiłam, że płacimy zaraz.

— I co?

— Powiedział, że jak pani nie ma, to nie może zostawić, bo potrzebne mu pieniądze natychmiast.

— Ach Boże, Boże! — zmartwiła się pani Alicja. — Tak teraz trudno o tę wełnę...

— Ale powiedział, że ma jeszcze w domu drugą. Tylko droższą. Po trzy tysiące.

Pani Alicja zastanowiła się.

— Trudno, trzeba będzie wziąć tę droższą. Tylko zaraz, bo jutro może się okazać jeszcze droższa.

— Pewnie, że może. Powiedział, że na pewno zdrożeje.

— Fabiański tak powiedział? — oburzyła się pani Alicja. — A cóż to za człowiek!

I nagle ogarnęła ją gorączka działania.

— Rozalia musi zaraz pójść do Fabiańskiego. Tylko prędko.

— Mogę pójść — zgodziła się stara.— Nie ma wiatru?

— Skądże wiatr? — zdenerwowała się pani Alicja. — Śliczna, ciepła pogoda... zaraz dam Rozalii pieniądze. Niech Rozalia idzie.

Przeszły z hallu do pokoju sypialnego.

Przed wojną sypialnia Kosseckich mieściła się na górze, jednak ze względu na przeciekający dach trzeba ją było przenieść na dół wraz z obcymi, poniemieckimi meblami. Te meble były zmorą pani Alicji. Kierownik Arbeitsamtu, który zajął w swoim czasie willę Kosseckich, zgodnie z niemiecką manią przebudowywania urządził cały dom według własnych, nienajlepszych zresztą upodobań. Ze wszystkich kątów wyzierała teraz obcość. Pani Alicja, mając wyraźnie i w najdrobniejszych niemal szczegółach zarysowany w pamięci obraz urządzenia dawnego, nie mogła się oswoić z nowym, cudzym porządkiem. Przemeblowała wprawdzie pokoje, urządziła wszystko po swojemu, lecz włożywszy w tę pracę wiele wysiłku, nie włożyła w nią serca. Nie czuła się u siebie.. Ilekroć na przykład wchodziła do pokoju sypialnego, zawsze już na samym progu odpychał ją krzykliwy luksus ogromnego tapczanu, szerokiej szafy, miękkich foteli i kutego żyrandola. Całość przypominała nudny szablon komfortowego hotelu.

Rozalia zatrzymała się we drzwiach.

— A starczy nam pieniędzy?

— Jakże może nie starczyć? — zdziwiła się pani Alicja. — Przecież dostałam wczoraj cztery tysiące za ten nowy kupon, szarozielony...

Rozalia nieprzychylnie spojrzała na swoją panią małymi oczkami.

— To ja nic o tym nie wiem — odparła z akcentem urazy. — Mnie pani nic nie powiedziała.

Pani Alicja oburzyła się.

— Jak to Rozalii nie powiedziałam? Wczoraj wieczorem nie mówiłam?

Stara obraziła się na dobre.

— Taka głucha chyba nie jestem, żeby nie słyszeć, co pani mówi.

W pierwszej chwili pani Alicja chciała obstawać przy swoim, lecz spojrzawszy na Rozalię rozmyśliła się.

— No, więc dobrze — powiedziała ugodowo. — Może rzeczywiście zapomniałam...

— Pewnie, że pani zapomniała.

— W każdym razie pieniądze na szczęście są.

Otworzyła niemiecką, jak ją w nieprzyjaznych myślach nazywała, szafę i spomiędzy chłodnych, równo poukładanych prześcieradeł wydobyła stary, jeszcze ojcowski portfel, w którym od lat zwykła przechowywać pieniądze na bieżące wydatki. „Mój Boże, ileż on biedáka przeszedł!“ — pomyślała ze wzruszeniem. Była to, poza fotografiami, jedyna bodaj pamiątka, jaka jej pozostała po rodzicach. Otworzyła portfel i w tym momencie zamarła. Był pusty.

Przez parę sekund stała bez ruchu, odrętwiała. Czuła tylko, jak zimne krople potu występują jej na skroniach. Sprawdziła jeszcze raz we wszystkich przegródkach. Nic. „Tylko spokój, spokój...“ — szepnęła sama do siebie. Poczęła przypominać sobie, jak wczoraj chowała otrzymane pieniądze i jak dzisiaj, idąc do miasta, wyjęła z ośmiu pięćsetek jedną na drobne sprawunki, pozostałe siedem z powrotem chowając na miejsce. Nie, nie mogła się pomylić. Jednak, dla pewności, drżącymi już rękoma przerzucać poczęła prześcieradła, a gdy niczego wśród nich nie znalazła, zabrała się do przeszukiwania całej półki.

Tymczasem Rozalia, która nie mogła dostrzec co robi Kossecka zasłonięta drzwiami szafy, zniecierpliwiła się.

— Proszę pani, bo jeżeli mam iść zaraz... tylko patrzyć i będzie ciemno...

Stara kobieta panicznie się teraz bała wychodzenia z domu po zmierzchu. Ruski, jak nazywała sowieckich żołnierzy, nie budzili w niej zaufania.

— Proszę pani... — powtórzyła.

Pani Alicja zaprzestała daremnych poszukiwań.

— Już, już Rozalio! — powiedziała zza drzwi nienaturalnie głośno. — Niech się Rozalia idzie ubierać.

— A pieniądze?

Pani Alicja ścisnęła dłońmi skronie.

— Czy pan Andrzej jest w domu?

— Że co pan Andrzej?

— Czy jest w domu, pytam?

— A jest, owszem. Wrócił niedawno. Panowie jacyś do niego przyszli.

Pani Alicja zawahała się.

— A pan Alek? — spytała z pewnym wysiłkiem.

— Alek? — zgorszyła się Rozalia. — Abo on jest kiedy w domu? Poleciał gdzieś zaraz, jak pani wyszła.

Przez chwilę panowała cisza.

— Więc co mam robić? — odezwała się Rozalia. — Bo już sama w końcu nie wiem...

— Powiedziałam przecież, niech się Rozalia ubiera. Zaraz przyniosę pieniądze.

Gdy tamta wreszcie wyszła, pani Alicja zamknęła szafę. Ale ledwie od niej odeszła, natychmiast zawróciła i, z powrotem drzwi otworzywszy, raz jeszcze przekładać poczęła prześcieradła. Daremnie. Więc znowu szafę zamknęła. W jej dużym lustrze, nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, ujrzała naraz swoją pobladłą, postarzałą twarz i przez moment sama się przeraziła cierpieniem, które zobaczyła w swoich pociemniałych, jakby mgłą powleczonych oczach. Machinalnie podniosła ręce i poczęła poprawiać włosy. W całym domu panowała taka cisza, jakby nie było w nim nikogo. Z przyległego pokoju, który miał teraz służyć Antoniemu za gabinet, nie dobiegał żaden odgłos. Na dworze, w ogrodzie, wesoło świergotały ptaki.

Odwróciła się od lustra i już chciała wyjść, gdy wzrok jej padł na stojącą przy tapczanie fotografię Alka. Było to bardzo dawne zdjęcie, z owych odległych czasów, kiedy mały miał trzy lata. Siedział na tym zdjęciu na kamiennych, słońcem oświetlonych schodkach, w letniej koszulce i króciutkich spodenkach, prawą rączką obejmując zgiętą po dziecinnemu w kolanie nogę. Był wtedy uroczym dzieckiem o jasnych, kędzierzawych włosach i okrągłej buzi niewinnego aniołka. Przypomniało się jej nagle, że tego samego lata, kiedy robione było to zdjęcie, w związku z wypadnięciem z gniazda dwóch małych bocianiątek Alek przeżył pierwszy swój wielki dramat. Przez wiele godzin nie mogła uspokoić jego szlochu, w nocy zrywał się kilka razy z wielkim krzykiem i przez sen żałośnie popłakiwał a potem jeszcze długo, długo, zimą jeszcze wracał niejednokrotnie w rozmowach do biednych, jak mówił, „boniaciątek“. Tyle lat od tamtych czasów minęło, a przecież ledwie zacisnęła powieki, aby powstrzymać napływające jej do oczu piekące łzy, poczuła przez moment w swoich pustych ramionach ciepło dziecięcego ciałka i ten sam dreszcz wzruszenia, miłości i bezradnego smutku, jaki przenikał ją był wówczas poprzez rozdzierający szloch.

Opanowała się i szybko wyszła z pokoju. Już na schodach dobiegły ją dochodzące z pokoju Andrzeja głosy. Zawahała się. Ale tylko na moment. Ledwie bowiem pomyślała, że Rozalia może się dowiedzieć o zniknięciu pieniędzy, natychmiast przełamała w sobie odruch oporu. (C. d. n.)

słowa: „Już w gruzach leżą Maurów posady...“ Pytam: skąd zna te słowa? Powiada: nauczył się od Polaka, z którym razem pracował w kopalni. Postanowiłem wtedy zdobyć choćby kilka wierszy Mickiewicza. Żałowałem, że gdy miałem sposobność, tak mało go czytałem. Po długich staraniach dowiedziałem się, że jeden Niemiec ma dzieła Mickiewicza. Składałem porcje margaryny, żeby ten tomik wykupić, prosiłem też kolegów Polaków, żeby mi coś dali ze swych przydziałów, a w wolnych chwilach czytać będziemy Mickiewicza. Muszę jednak z przykrością wyznać, że nie było nikogo z Polaków, kto by się tym zainteresował. Dowiedzieli się o mych prośbach Rosjanie-jeńcy i zaraz ofiarowali swe porcje. byle móc razem czytać Mickiewicza. Gdy, dzięki ich ofiarności, książkę zdobyłem, zrobiliśmy skrytkę i w wolnych chwilach czytałem Mickiewicza. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak ci obcy ludzie słuchali pilnie słów Mickiewicza, nie tylko Rosjanie, ale i Serbowie, nie wiele rozumieli przecież po polsku. Wtedy zrozumiałem całą prawdę. Zrozumiałem, czym były słowa Mickiewicza dla nas Słowian na wygnaniu, zrozumiałem cały artyzm jego poezji.“

Młodzież gorąco podkreśla swój kult dla Mickiewicza, często w słowach pełnych przesady, ale szczerych, pisząc np. „Mój Mickiewicz to postać wielka, wspaniała, niemal. nadludzka“..., albo np.: „Kocham Mickiewicza za tę potęgę, żar i wzniosłość uczuć...“, albo „Kocham go za głęboką, szlachetną, bezinteresowną miłość Ojczyzny, za ukochanie ziemi rodzinnej...“ itd.

Tu i ówdzie trafiają się przy tej okazji i bystre spostrzeżenia. Np. „W dawnej szkole za mało zwracano uwagi na wychowanie narodowe. Oddawano tylko cześć jednostkom, a sprawę rozbudzenia uczuć narodowych pozostawiono na dalszym planie. Tylko utwory Mickiewicza nauczyły mnie patrzeć na Ojczyznę jako na coś bezcennego.“

Spod wpływu Mickiewicza próbował się wyzwolić przez pewien czas A. Tylek (II lic.). Pisze o tym w następujących słowach: „Od czasu rozczarowań okupacyjnych stosunek uwielbienia, jaki ma uczeń dla wyidealizowanego mistrza, uległ pewnej zmianie. Wiara w Mickiewicza i w jego hasła zaczęła się nawet chwiać pod wpływem doświadczeń życiowych. Analizując społeczeństwo, analizując czyny pewnych jednostek, które uważałem za ludzi pokroju Mickiewicza, a które okazały się tylko zwykłymi, bardzo przyziemnymi istotami, zacząłem zastanawiać się nad tym, czy mój stosunek do Mickiewicza nie był fałszywy... Był nawet okres, w którym wypierać się chciałem zupełnie poglądów Mickiewicza... Walka wewnętrzna trwała dość długo...“

Z tej walki i rozterek wyszła jednak młodzież, z małymi wyjątkami, zwycięsko.

Najlapidarniej ujmuje to zwycięstwo haseł Mickiewicza J. Mizygar (II lic.): „Kult Mickiewicza wśród nas rośnie. Dzisiaj Mickiewicz jest równie aktualny jak sto lat temu. Mickiewicz jest dla nas symbolem żywotności i niezniszczalności narodu polskiego.“

Przyszli nauczyciele pragną ten kult Mickiewicza krzewić w sercach swych wychowanków w nowej szkole.

Stefan Papée

W poprzednim 4 (113) numerze „Odrodzenia“ z dnia 26 stycznia 1947 r.: **Jan Reychman:** Ziemia odwiecznego sporu. — **Stanisław Jerzy Lec:** Wiersze wiedeńskie: Rekonstrukcja tumu św. Szczepana. Nad kanałem Dunaju. * * *. — **Celina Bobińska:** A jednak — historię trzeba przewietrzyć. W odpowiedzi Marii Dąbrowskiej. — **Adam Ważyk:** Wiersze wybrane: Apolog. Aorta. Pożegnanie Inkipo. Czuwanie. Nike. — **Józef Garbacik:** Filip Kallimach Buonacorsi. W 450 rocznicę śmierci. — **Jerzy Andrzejewski:** Zaraz po wojnie. Powieść (2). — **Tadeusz Hołuj:** Organizacja masowej pracy kulturalnej w ZSRR. — **Jan Brzoza:** Rozmowa z Gustawem Morcinkiem. — **Marian Promiński:** Listy spod morwy. — **kjw:** Szkoła krytyków: Dyskusja o prozie. — **Krystyna Kuliczkowska:** Teatr ludowy. — **Stefan Papée:** Wśród książek. — **gi:** Vincent Auriol. — **Konstanty Grzybowski:** Sprawa Tillesena. — Korespondencja (**Jerzy Pytlakowski, Paweł Konrad, Ryszard Matuszewski, Wincenty Hlouszek**). — **Tadeusz Konwicki:** Pożegnanie lasu. — **Marian Tyrowicz:** Dwie książki o ziemi zapomnianej. — **bsk:** ...Brzmi w źdźble czyli głęboko zabarwiony. — Tydzień bibliograficzny. — **tar:** „Panhumanizm“ — czyli oszałamiające zjawisko w „Odrze“ — **rut:** Ekran i Alba. — **kaj:** Donos do żony poety. — **Marian Promiński:** Pierwszy film pełnometrażowy. — **jaszcz:** Majdański czy rozrodczość. — **kaj:** Płodne starcie. — **Stefania Łobaczewska:** Życie muzyczne w Krakowie. — 6 ilustracji. — **12 stron.**

ZOFIA SIWICKA

JARACZ O SZEKSPIRZE

Przygotowując się w r. 1939 do wystawienia Szekspira, Jaracz starał się przemyśleć na nowo wszelkie związane z tą sprawą zagadnienia. W owym okresie, rozmawiając o nowych przekładach, przechodził często do kwestii swego osobistego stosunku do sztuki szekspirowskiej w ogóle. Ponieważ kilka takich z nim rozmów szczególnie utkwiło mi w pamięci, poczuwam się do obowiązku powtórzyć ich treść możliwie najwierniej.

Pierwszą sprawą, którą stale podkreślał, było pragnienie poznania Szekspira samodzielnie — tzn. bez balastu dotychczasowych doświadczeń teatralnych czy opracowań literackich. Mówił, że narosły tego „góry“ na każdej prawie sztuce. Przyjęła się u nas pewna tradycja grania ich tak a nie inaczej. Dotyczy to nie tylko dylematu: realizm sceniczny i techniczna doskonałość widowiska — czy prymitywizm i prostota na sposób spektaklów elżbietańskich, ale — co jest znacznie ważniejsze — odnosi się do interpretowania samych typów ludzkich. Wiadomo, że napisano o tym tomy, że krytyka literacka, biorąc postacie szekspirowskie pod swoją lupę, starała się je zbadać z laboratoryjną ścisłością i poddać każdą niemal skazę działaniu powiększających soczewek, wyciągając wnioski już nie tylko z każdego słowa, ale z gestu czy odruchu. Teatr przyjął na ogół takie ujęcia postaci szekspirowskich, które stwarzały dla aktora „rolę“, zapewniały mu „markę“. Ta tradycja ma jedną ciemną stronę: utrudnia bezpośredni, nieprzemyślany stosunek do sztuki. Tymczasem warunkiem stworzenia żywej kreacji artystycznej jest właśnie taki bezpośredni, oparty na osobistym przeżyciu stosunek.

„Jeśli przystępuję do opracowania nowej kreacji — mówił — staram się po prostu nie pamiętać, jak grali ją inni, — staram się sam wejść jak najgłębiej w duszę tego człowieka i dopiero porozumiawszy się z nim bezpośrednio, wziąwszy go jakby w siebie, mogę obejrzeć się wstecz ku dotychczasowym jego postaciom scenicznym, biorąc z nich tylko to, co odpowiada wewnętrznemu przekonaniu, nie tyle mojemu, ile raczej tego drugiego człowieka, który wstąpił we mnie. Tylko tak bliski kontakt uprawnia mnie do wyjścia, jako ten drugi, na scenę.“

Jeśli w każdej nowoczesnej kreacji artysta czuł się zobowiązany do tego bezpośredniego stosunku, to tym bardziej wtedy, gdy przystępował do Szekspira. Tutaj warstwa tradycji była znacznie grubsza niż zazwyczaj. Trzeba się było przebić przez skorupę przyzwyczajeń, trzeba było w samym sobie wytrzebić zakorzenione od czasów dzieciństwa i młodości pojęcia, zatrzeć obrazy, zniszczyć „kukiełki“ z imionami postaci szekspirowskich.

Ten stosunek do Szekspira kształtował się w Jaraczu zwolna. W młodości grywał w sztukach szekspirowskich, idąc jeszcze po starej, utartej linii, wyczuwał jednak już wtedy, że Szekspir to przecież zupełnie co innego! Nie odpowiadała mu nie tylko zewnętrzna forma widowiska, w którą wkładano zresztą nieraz dużo wysiłku, a nawet pomysłowości, ale która, wysuwając się często na plan pierwszy, zasłaniała istotę rzeczy. Nie odpowiadał mu język zbyt rozwlekły, zawsze jednostajnie potoczysty — podczas gdy osoby, które nim mówią, przeżywają poważne konflikty myślowe czy uczuciowe i nie mogą w taki sposób „przemawiać“. Czyżby to było możliwe — myślał — aby Szekspir, znawca du-



Stefan Jaracz w roli Świętoszka

szy ludzkiej i mistrz słowa, wkładał im w usta układny frazes w chwilach, gdy bucha w nich namiętność? Albo, czy ludzie w pasji mogą wysławiać się z retoryczną ozdobnością?

Wyczuwał, że jest tu coś nie w porządku. Porównywał ilość wierszy w oryginale z ilością wierszy przekładu. Okazywało się, że dziesięć wierszy u Szekspira odpowiada w przekładach polskich najczęściej 12, 13 a czasem 14 i więcej wierszom. A więc rozwlekłość, obca Szekspirowi, a więc nużące dłużyzny. (Przedstawienie „Hamleta“ kończyło się zwykle po godz. 12-ej). Dlatego to tak ważną rzeczą byłoby skontrolowanie polskiego tekstu Szekspira — zestawienie go z oryginałem i tylko z oryginałem. Przekłady z innych języków to zbyt daleka droga, nawet, gdyby wynik był z punktu widzenia artystycznego dodatni. Trzeba — mówił z zapałem dalej — wżyć się w świat Szekspira i umiejętnie oddać jego niezwykle szeroką skalę uczuciową.

Czy jest ktoś inny, kto mógłby dorównać Szekspirowi we wrażliwości artystycznej, znającej najsubtelniejsze i najgorniejsze tony duszy ludzkiej — ale zarazem śmiech, rubaszność i cynizm? Obok cudownej poezji, obok fantastycznej bajki, wulgarny, dosadny, nieprzyzwoity język plebsu londyńskiego. A weźmy przekłady: opuszczają one, omijają, tuszują, w najlepszym razie tonują rażące nieraz swą brutalnością „ciężkie“ słowa. Ależ — ożywiał się — przecież takie jest życie: żeby ocenić jego słodycz, trzeba zaznać goryczy. Aby cudowne, najgłębsze, najsubtelniejsze wypowiedzenia, jakie zna świat, nabrały pełni wyrazu i artyzmu, trzeba im przeciwstawić brutalność, cynizm i podłość w ich najdosadniejszej postaci. Toteż przekłady, które nie oddają pełnej skali szekspirowskiego języka, które jakby na własny rachunek załatwiają sprawę tekstu, nieraz — trzeba przyznać — mocno drażliwego, dowodzą braku poczucia odpowiedzialności tłumaczów i zniekształcają prawdziwe poznanie świata szekspirowskiego. A więc znalezienie prostszej, bliższej, dokładniejszej formy to rzecz niesłychanie ważna, bo tą drogą — mówił — dojdzie się do sedna sprawy, tj. do wiedzy o człowieku — jaką miał Szekspir. Kto lepiej rozumiał człowieka? Tu nie idzie o literaturę.

Nie ma co powtarzać rzeczy powtórzonych tysiąckrotnie w setkach tomów po bibliotekach. Ja w Szekspirze — wołał — czuję człowieka. Człowiek walczy, kocha, cierpi, śmieje się, klnie, nienawidzi, — ten człowiek wiecznie żywy — to jest wiecznie żywy Szekspir. „Bo dla mnie — mówił z powagą dalej — teatr nie jest tylko sztuką — teatr jest czynem. Przez tę właśnie prawdę ludzkich przeżyć, przez wdarcie się w najskrytsze zakamarki duszy, przez wydobycie z nich nieuświadomionych nieraz wartości — osiąga się ów „rząd dusz“, owo panowanie nad widzem, a właściwie współuczestnikiem twórczym, który razem z artystą przeżywa nieoczekiwane i niemożliwe dla siebie kiedy indziej wzruszenia.“

Tu jest właśnie Szekspir — z punktu widzenia teatru — mistrzem niezrównanym. Wymaga jednak wielkiego wysiłku od artysty. Praca nad Szekspirem, to ciężka praca. Trzeba wszystko na nowo przeżyć, na nowo w sobie przetrawić, aby dojść samodzielnie do właściwej koncepcji.

Po takich uogólnieniach lubił przechodzić do którejś ze sztuk szekspirowskich. Czytał właśnie „Otella“: „Jeśli kto kiedy poznał uczucie zazdrości, jeśli go to uczucie zwolna poczynało toczyć, jeśli się przed nim bronił bezskutecznie, widząc w chwilach przytomności, że pcha go ono w przepaść, jeśli się wreszcie poddał i sycił rozkoszą zemsty — dowie się wszystkiego o sobie, patrząc na mękę Otella. Ta chwila przed zabójstwem! Śpi piękna, ufnym snem niewinności. Aureola, która bije od niej, prześwietla swym blaskiem duszę przyszłego zabójcy. I dzieje się rzecz dziwna: miłość wraca. Wraca piękniejsza, czulsza, subtelniejsza. To, co mówi Otello schylony nad śpiącą żoną, to jest szczyt ekstazy miłosnej. Tym cudowniejsza ekstaza, że wydobyta z dna duszy przeżartej, zdawałoby się doszczętnie — trucizną zemsty.“

Słuchając Jaracza, trudno się było oprzeć wrażeniu, że ten człowiek istotnie zaszedł na tej drodze, którą sam sobie wytknął — tj. na drodze samodzielnego, bezpośredniego poznawania — bardzo daleko. Lubił mówić o tym w przerwach lektury szekspirowskiego przekładu.

Było to w teatrze „Ateneum“ na Powiślu, w porach przedpołudniowych, w jakiejś pustej garderobie. Siedział wśród nieładu słoików, szminek, luster z tekstem w ręku i — gorzał. Nie wiem, czy gdyby dane mu było zagrać jeszcze na scenie Szekspira, z całym aparatem dekoracji, kostiumów, mimiki itd. — mógłby zagrać go lepiej niż tam, siedząc w zwyczajnym ubraniu przy zachlapanym farbami stole. Dla niego Szekspir to nie był autor sprzed czterech wieków, to był człowiek, który podsłuchał jego własne zwierzenia, zajrzał w głąb jego własnej duszy.

Sztuką, która pasjonowała go w tym przedwojennym okresie, w latach wojny, a także i w ostatnim roku przed śmiercią, był „Makbet“. Czy jest coś bardziej aktualnego — pytał — niż żądza władzy? Przeżyć to, wcielić, wywlec na światło dzienne wszystkie ciemne instynkty, z których rodzi się i wyrasta ten potwór! Przeniknąć arkana przebiegłości i układnego fałszu, w które obleka się szlachetny niegdyś człowiek, kiedy go urzekł miraż panowania. Iść jego śladem, gdy stąpa lękliwie po trupach mniemanych wrogów, którym sam śmierć zadał, gdy chwyta pozory władzy, zamiast jej samej, gdy strzeże ich z płochliwą odwagą, grzeznąc coraz dalej w śmiertelnym trzęsawisku. Ale czy to wszystko możliwe, jeśli ten człowiek był istotnie szlachetny? Mamy tu wcieloną pokusę — lady Makbet. Dotąd na wszystkich scenach była ona tylko tą właśnie „pokusą“, namawiającym do zbrodni wężem. — Ale czy szlachetny Makbet dałby posłuch takim podszeptom, gdyby — i tu się Jaracz zapatrzył gdzieś daleko — gdyby nie inne, głębsze, bardziej osobiste racje, gdyby nie inne więzy, które łączyły go z tą kobietą? Czy pomyślał kto o tym, że w tym człowieku musi tkwić uczucie do lady Makbet — że ona czaruje go nie tylko zjawą złoconej korony, ale czaruje go sobą. Dopiero ten osobisty stosunek tych dwojga czyni z nich żywych ludzi. „Myślałem nad tym długo — mówił z widocznym podnieceniem — i uważam, że tak to należy rozumieć, choć o ile mi wiadomo, nikt dotąd jeszcze w ten sposób nie ujmował tragedii Makbeta i jego żony.“

Kwestia ta musiała go widać głęboko interesować, gdyż powracał do niej wielokrotnie, powtarzając, iż coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że ludzie stają się łupem żądzy, szału władzy, dochodzącego do potwornych rozmiarów. Dlatego też „Makbet“ nabiera z dniem każdym większej aktualności. Powracał również do sprawy wpływu lady Makbet na męża, twierdząc stanowczo, że musiały tu działać również pobudki erotyczne, że z gruntu wrażliwa natura Makbeta, pozostająca pod urokiem piękna kobiecego, wchłonęła razem z tym urokiem i zabójczą bakterię żądzy panowania, która stopniowo przeżarła mu mózg i serce.

Ostatnie przytoczone słowa o Makbecie mówił Jaracz, siedząc w swym pokoiku w Otwocku w lipcu 1945 r.; mówić mógł tylko szeptem. Mówił ze świadomością, że go w niedługim czasie czeka daleka droga. Trzeba było podziwiać spokój, z jakim umiał zapanować nad cierpieniem fizycznym i myśleć o rzeczach sztuki z jakąś szczególną przenikliwością i głęboką rozwagą. Treść i forma jego słów miały w sobie coś z ostatecznych podsumowań. Te proste syntezy były jednak wynikiem doświadczeń długich lat pracy artystycznej. Nie przestając ani na chwilę interesować się bieżącymi zadaniami teatru, wytyczając mu nawet drogi na przyszłość, dokonywał jakby zamknięcia osobistych rachunków ze sztuką i z życiem — bez cienia goryczy czy żalu nad własną niemocą fizyczną, paraliżującą realizację jego zamierzeń.

Wydaje mi się, że gdyby jego dawni widzowie z teatru mogli byli słyszeć wtedy ten cichy szept, byliby nim bardziej wstrząśnięci, zapamiętaliby go lepiej niż wszystkie wspaniałe kreacje i przejmujące słowa, którymi kiedyś wstrząsał ze sceny ich dusze.

Zofia Siwicka

JAN M. NOWAK

ŻYCIE W USA

Od specjalnego korespondenta „Odrodzenia"

New York, w styczniu 1947 r.

Rok 1947 zaczął się w Stanach Zjednoczonych pod znakiem następujących wydarzeń wewnętrznych:

Przegrana strajku węglowego Lewisa, wskutek wyroku sądowego, jaki zapadł przeciwko Lewisowi i jego United Mine Workers. Górnicy wrócili do pracy nic nie uzyskawszy. Ich związek, jeżeli apelacja nie pomoże, będzie musiał zapłacić grzywnę 3½ miliona, a ich przywódca Lewis 10 tysięcy dolarów — z majątku osobistego. Ta przegrana Lewisa, przyjęta z cichym zadowoleniem przez innych działaczy robotniczych, wśród których Lewis jest znienawidzony za swoją awanturniczą i niezespołową politykę, była wynikiem stanowczej postawy Trumana i jest jedynym bodaj zwycięstwem odniesionym przez prezydenta w ciągu jego kariery. Truman jest na ogół ulubioną ofiarą złośliwych karykaturzystów; jeżeli jest popularny, to tylko jako lame duck — kulawe kaczątko, i być może, że stanowczością wobec strajku, który nie był tutaj mile widziany przez przeciętnego obywatela, chciał naprawić swoją reputację.

Rozpętanie tego strajku, przy bardzo zawikłanej sytuacji prawnej, dającej mało szans sukcesu, obciąża Lewisa odpowiedzialnością za rolę, która chwilami może wyglądać jak rola agent provocateur wielkiego przemysłu. Nie posuwając się tak daleko w oskarżeniach, można jednak stwierdzić, że republikanie mają o jeden atut więcej w swoich atakach na świat pracy i że, jak to przedstawia któraś karykatura, węgiel Lewisa daje rozpęd republikańskiej lokomotywie.

*

Rozpoczął się osiemdziesiąty Kongres w historii Stanów Zjednoczonych. Jest to Kongres z większością republikańską. Sytuacja jest paradoksalna, rzadko powtarzająca się w historii Stanów. Oto demokratyczny prezydent musi współpracować z republikańskim Kongresem — a Truman będzie prezydentem jeszcze 2 lata, do wyborów 1948 roku. W takiej sytuacji łatwo o powody do walki pomiędzy prezydentem i Kongresem, o podstawianie sobie nawzajem nogi, o wszelkie inne niemiłe chwyty. Truman jednak wystąpił wobec Kongresu z ugodowym przemówieniem, proponując „spotkanie się w połowie drogi", co zresztą może być ułatwione przez fakt, że już uprzednio współpracował z republikanami — przecie republikański senator Vandenberg już od szeregu miesięcy jest rzeczywistym inspiratorem amerykańskiej polityki zagranicznej.

Jedną z pierwszych trosk Kongresu będzie prawdopodobnie szukanie środków zaradczych przeciwko „szerzeniu" się komunizmu w Azji, w Europie i w Ameryce Południowej, a to przy pomocy wyasygnowania odpowiednich sum, które zasilą gospodarkę krajów kluczowych, jak Włochy, Niemcy, Grecja, Chiny.

Jakkolwiek dwa lata dzielą od przyszłych wyborów prezydenta, to jednak ta kampania wyborcza, nałożąca zwykle do najważniejszych w[ydarzeń] w Stanach, zaczyna się wcześnie. Już obecnie posunięcia polityków mają na widoku ten ostateczny cel. Truman podobno wyraża ochotę kandydowania z ramienia demokratów, jakkolwiek jego szanse są znikome. Natomiast GOP, czyli partia republikańska, jest terenem wściekłej walki na noże pomię[dzy] amatorami prezydenckiego fotela i ani Vandenberg, ani Dewey ani Taft, ani Stassen nie zasypiają gru[szek] w popiele, choć oczywiście z[a] wcześnie snuć na ten temat jaki[e]ś przypuszczenia. Wymienia się też generała Eisenhowera, którego kandydatura przyczyniłaby republikańskim grubym rybom sporo kłopotu.

*

Tymczasem wśród postępowców i liberałów widać ruch, który jest wynikiem ich zastanawiania się nad przegraną partii demokratycznej. Jedną z przyczyn przegranej był niejednolity, mieszany, postępowo-konserwatywny charakter partii, toteż postępowcy i liberałowie, chcąc wyzwolić się z niewygodnych sojuszów, rozważają możliwość utworzenia w Stanach trzeciej, własnej partii. Postępowcami i liberałami nazywa się zwolenników polityki New Dealu i kontynuatorów linii Roosevelta. Twierdzą oni, że obecna gospodarka, oparta na zupełnym zerwaniu wszelkich hamulców i powrocie do dzikiej konkurencji, jest dokładnym powtórzeniem gospodarki po roku 1918, która doprowadziła do kryzysu 1929 roku. Trzeba zdać sobie sprawę, że Stany Zjednoczone miały w swojej historii tylko trzy wielkie wstrząsy. Dwie wojny: wojnę o niepodległość i wojnę domową, która całkowicie zrujnowała ziemiańskie Południe. I dzisiaj jeszcze, kiedy mówi się na południu Stanów o ostatniej wojnie, ma się na myśli bynajmniej nie wojnę światową nr 1 czy wojnę światową nr 2, tylko wojnę domową. Trzecim wstrząsem był kryzys 1929 roku, który nie miał podobieństwa, jak to skłonni są wyobrażać sobie Europejczycy do ekonomicznej depresji, ale raczej do katastrofy żywiołowej, powodzi czy wybuchu wulkanu. O rozmiarach tej klęski pamiętają Amerykanie i jest to bodaj jedyna rzecz, która doprowadza ich do stanu nerwowości. Polityka gospodarcza „boom and bust", czyli obfitości i nagłego załamania się jest niebezpieczna. Teraz jest „boom". Sytuację, w ujęciu postępowców, przedstawia taka karykatura: mały człowieczek, czyli przeciętny obywatel Ameryki, niesie na swoich barkach olbrzymiego grubasa, czyli partię republikańską i wielki przemysł. Grubas trzyma przed oczami małego człowieczka na długim kiju w rodzaju wędki tablicę z napisem „boom". Zapatrzony w tę tablicę człowieczek ze swoim jeźdźcem zmierzają prosto ku olbrzymiej przepaści.

Postępowcy twierdzą, że jedynym sposobem uniknięcia kryzysu jest powrót do kontroli, ścisłe sprawdzanie wysokości zarobków pracowniczych i wysokości zysków oraz planowanie gospodarki przez państwo. Przywódcą ich jest w tej chwili Henry Wallace, który po ustąpieniu ze stanowiska sekretarza Handlu objął redakcję tygodnika nowojorskiego „The New Republic" i uczynił ten tygodnik swoją trybuną. Niewątpliwie program postępowców, narzucający się swoją logiką, mógłby przyciągnąć wielkie masy amerykańskich wyborców, gdyby nie pewne przeszkody.

Spośród nich wymieńmy przede wszystkim prasę. „The New Republic" ma niewiele ponad 40 tysięcy nakładu, co jest jak na Stany Zjednoczone kroplą w morzu. W wielkich miastach, jak New York lub Chicago istnieje codzienna i tygodniowa prasa liberalno-postępowa. Olbrzymie jednak obszary kontynentu, cała „prowincja", jeżeli to tak można nazwać, a taka prowincja to z osiemdziesiąt procent tego lądu, czerpie swoją wiedzę z jednej nieraz gazety lokalnej typu sensacyjnego, w porównaniu z którą krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny" mógłby uchodzić niemal za dziennik filozoficzne. Nie można się dziwić, jeżeli logiczne argumenty z trudnością znajdują dostęp do umysłów obywateli. Wielkie dzienniki i tygodniki amerykańskie są niemal bezkonkurencyjne pod względem bogactwa informacji. Te jednak wielkie dzienniki i tygodniki są czytane przeważnie w wielkich miastach, a masa amerykańska to przede wszystkim farmer i mieszkaniec małego miasteczka.

Drugą, nie mniej poważną przeszkodą, jest zagadnienie polityki zagranicznej, co oznacza oczywiście nic innego niż taki czy inny stosunek do Rosji. Raczej przyjazny stosunek do Rosji znacznej liczby postępowców, w tym Wallace'a, przeciwnikom ich daje do ręki gwałtowne, bo apelujące do namiętności narodowych, argumenty. Należy wspomnieć, że większość prasy pisze o Rosji co najmniej uszczypliwie, że spośród licznych książek na temat Rosji większość przedstawia ją w świetle niepochlebnym, poza tym żołnierze wracający z Europy i z Dalekiego Wschodu są ożywieni uczuciami, które trudno nazwać miłością do Rosjan, i stają się krzewicielami antyrosyjskiej propagandy. W tych warunkach oskarżenie o prorosyjskie sympatie i o współpracę z amerykańskimi komunistami może zbić najbardziej logiczną argumentację.

Trzecią wreszcie przeszkodą jest fakt, iż sami postępowcy nie są grupą jednolitą. Można tu zaliczyć ludzi o różnych przekonaniach i o różnych stopniach skrajności. Są wśród nich dwa skrajne skrzydła: wybitnie prorosyjskie i wybitnie antyrosyjskie, a reszta musi lawirować, idąc to z jednymi, to z drugimi. Ostatnio nastąpiły ważne wydarzenia organizacyjne.

Dwie naczelne organizacje postępowców: National Citizens Political Action Committee pod przewodnictwem Franka Kingdona i Independent Citizens Committee of the Arts, Sciences and Professions pod przewodnictwem rzeźbiarza Jo Davidsona zebrały się na wspólne obrady w New Yorku. Rezultatem było uchwalenie rozwiązania tych organizacyj i utworzenia jednej, wspólnej, pod nazwą Progressive Citizens of America, pod wspólnym przewodnictwem Kingdon-Davidson. Nie należy mieszać National Citizens Political Action Committee z Political Action Committee CIO, bo ta nazwa oznacza naczelne polityczne kierownictwo związku związków zawodowych CIO i jako instytucja związkowa nie została oczywiście rozwiązana.

Równocześnie w Waszyngtonie odbył się zjazd postępowców zgrupowanych w UDA — Union for Democratic Action. Ta druga grupa uchwaliła rezolucje mniej więcej te same co Progressive Citizens of America, z jednym wyjątkiem — jeżeli chodzi o stosunek do Rosji Naczelnymi postaciami są tu Ickes, Leon Henderson i pani Roosevelt.

Tak więc zapowiada się walka pomiędzy tymi grupami — pierwszą, której spiritus movens jest Wallace, i drugą, która zarzuca mu prorosyjskość.

Czy w tym stanie rzeczy może powstać w Stanach trzecia partia? O jej utworzeniu mówi się w Ameryce od lat. Jak się zdaje, będzie się o tym jeszcze przez pewien czas tylko mówiło.

*

Okres świąt Bożego Narodzenia był okresem rzadko spotykanej obfitości w historii. Do wielkich nowojorskich sklepów płynęły z kieszeni kupujących miliony dolarów. Już rok 1945 był dla sklepów wyjątkowo pomyślny, ale ten okres świąteczny przewyższył o 22% dochody z tamtego roku. Prawdziwa kopalnia złota. Ceny, po zniesieniu kontroli, były w okresie świątecznym zawrotne, mimo to chciwa publiczność płaciła te najwyższe ceny od odkrycia Ameryki. Towarów na rynku jest już dużo. Jedyne wojenne pozostałości, to zbyt mała w stosunku do zapotrzebowania ilość samochodów i maszyn do pisania, poza tym cukier na kartki, co nie oznacza oczywiście, że przemysł przetwórczy cierpi na brak cukru i że nie można dostać ice cream, tortów czy ciastek — żaden kraj nie spożywa takiej ilości słodyczy co Stany Zjednoczone.

Mimo tego „boom", dała się już zauważyć niechęć publiczności do kupowania drogich trunków, drogich kosmetyków i klejnotów, a gwałtowny spadek cen na poświątecznych wyprzedażach świadczy o nagromadzeniu przez sklepy zbyt wielkich zapasów towaru. Przepowiada się pewną zniżkę cen na produkty pierwszej potrzeby w ciągu najbliższych miesięcy, co zresztą na razie jest w sferze proroctw.

*

Jakie były najlepsze filmy w 1946 roku? To pytanie zadają sobie dziennikarze filmowi i specjalne jury w New Yorku zajęło się ustaleniem listy.

Na pierwsze miejsce wysuwają się: „Król Henryk V" według Szekspira, kolorowy film angielski z Olivierem w roli głównej, i „Otwarte miasto", film włoski.

Z ostatnich wydarzeń teatralnych najbardziej zgodną pochwałę krytyki uzyskał „Cyrano de Bergerac" Rostanda, z José Ferrar w roli Cyrana. Odbyło się właśnie niedawno setne przedstawienie tej sztuki, co zresztą jak na Broadway nie jest jeszcze miarą sukcesu, bo sukces to znaczy, że sztuka idzie bez przerwy cztery lata, pięć lat, nieraz siedem lat. Dla aktorów nie jest to miła perspektywa — mogą zgrzybieć, grając jedną rolę.

*

Jak wygląda lista „best-sellerów", a więc tych książek, których najwięcej sprzedają księgarnie, w początku 1947 roku?

Z literatury nie-powieściowej: pierwsze miejsce zajmuje książka uczonego rabina Joshua Liebmanna „Peace of mind" — „Spokój ducha", co dowodzi, że spokój ducha w tym trzecim roku atomowej ery jest artykułem pierwszej potrzeby i że książki o higienie duchowej mogą mieć skutki łagodzące i pokrzepiające. Dalej: „The Roosevelt I Knew" — „Roosevelt jakiego znałam" Frances Perkins. Na trzecim miejscu „The egg and I" — „Jajko i ja" pani Mac Donald, humorystyczna opowieść o hodowaniu kur, największy sukces księgarski 1946 roku. Na czwartym „The plotters" — „Spiskowcy" Carlsona, książka o działalności ukrytych faszystów w Stanach Zjednoczonych. Na piątym „As he saw it" — „Tak, jak on to widział" Roosevelta — syna. Z innych pozycyj trzeba wymienić „Balzaka" Zweiga, „Brandeis — biografia wolnego człowieka" Masona i książkę White'a i Jacoby'ego o współczesnych Chinach, w której sympatie autorów są raczej po stronie chińskich komunistów niż Czang-Kai-Szeka.

Z literatury powieściowej pierwsze miejsce zajmują: „East River" Szaloma Asza — powieść o dzielnicy w New Yorku zamieszkałej przez biedotę żydowską, „Pawilon kobiet" Pearl Buck (powieść z życia chińskiego) i „Thieves in the Night" — „Złodzieje wśród nocy" Artura Koestlera, powieść o ruchu podziemnym w Palestynie.

Z innych książek, będących w tej chwili „na powierzchni", wspomnę o „Austrian Requiem" Kurta von Schuschnigga (rodzaj apologii austriackiego męża stanu); o wielkim dziele profesora Yale University F. S. C. Northropa: „Spotkanie Wschodu z Zachodem", dziele z zakresu filozofii cywilizacji; o książce podającej amerykański program wojskowy na najbliższe lata: „The strenght we need" — „Siła, jakiej nam potrzeba" George Fielding Eliota. Zastanawiające dane podaje książka „Nadchodzący kryzys" Fritza Sternberga. O rozmiarach zjawiska exodu Żydów z Europy do Palestyny poucza reportaż I. F. Stone'a, który odbył podróż z grupą uchodźców żydowskich od granicy polsko-czeskiej do strefy amerykańskiej w Austrii i później statkiem nielegalnym z Włoch do Palestyny. Książki tej („Underground to Palestine") nie zalecałbym zresztą polskiemu czytelnikowi, bo by się zmartwił. — Wzmianką o nowej biografii Shelleya pióra Edmunda Blundena i ozdobnym wydaniu „Starego marynarza" Coleridge'a z interesującymi rysunkami zakończę ten przegląd.

Jan M. Nowak

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta »Odrodzenia«

Marian Friedberg: Nakładem Instytutu Zachodniego w Poznaniu ukazało się moje dwutomowe dzieło „Kultura polska a niemiecka", przedstawiające zarówno w rozbiorze analitycznym jak i ujęciu syntetycznym ścieranie się pierwiastków rodzimych z wpływami niemieckimi w rozwoju ustrojowo-społecznym i kulturalnym Polski średniowiecznej. Praca pisana w Krakowie w czasie okupacji jest pierwszym ogólnym ujęciem tego problemu ze strony polskiej i w znacznej mierze polemiką z nauką niemiecką. Starałem się pisać ją przystępnie i chciałbym, by (w interesie ogólnym) dostała się do rąk nie tylko historyków, ale i szerszych kół czytelniczych.

W wydanej ostatnio Bibliotece Krakowskiej nr 104 („Kraków pod rządami wroga") umieściłem artykuł o losach krakowskich archiwów i bibliotek podczas okupacji.

W druku znajdują się następujące moje prace: rozprawka pt. „Najważniejsze zagadnienia dziejów miast śląskich" oraz dalszy ciąg wydawnictwa „Cracovia artificum", podjętego jeszcze przez śp. prof. Jana Ptaśnika, a zawierającego zbiór aktów do historii kultury artystycznej Krakowa w w. XVI.

Do moich dalszych planów naukowych należy kontynuowanie zaczętych już dawniej studiów z zakresu ustroju społecznego i kultury Polski średniowiecznej, w szczególności prac nad charakterem narodowym miast polskich w średniowieczu oraz nad genezą rycerstwa.

Jarosław Iwaszkiewicz: W druku znajdują się obecnie dwie moje nowe książki: „Nowele włoskie" oraz „Ciemne ścieżki" (tom wierszy) w wydawnictwie „Wiedza". Ukazał się już tom „Wierszy wybranych" w nakładzie „Czytelnika". Tym samym zostaną wyczerpane — zresztą niecałkowicie — moje zapasy nagromadzone podczas okupacji. Obecnie pracuję nad dwiema powieściami. Jedna z nich nosi tytuł „Sława i chwała", druga „Podgaje". W najbliższej przyszłości pragnę przystąpić do napisania dwóch wielkich biografij, jedna poświęcona będzie Chopinowi, druga — co wymaga jeszcze wielu studiów, Lwu Tołstojowi.

Wiktor Hahn: Wydaję obecnie „Zarys historii bibliotek polskich".

Mam wykończone (względnie na ukończeniu) rozprawy o twórczości dramatycznej Urszuli Radziwiłłowej, Józefa Wybickiego, Karola Szajnochy, ponadto „Bibliografię bibliografii polskiej" (do r. 1946), „Bibliografię Szekspira w Polsce", „Bibliografię filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce (1926—1946)", „Bibliografię o Słowackim".

Dalsze moje plany obejmują następujące tematy: „Teatr jezuicki w Lublinie", „Teatr polski za czasów Rzeczypospolitej", „Zarys dziejów dramatu polskiego", „Józef Jeżowski w Rosji (1824—1855)", „Mikołaj Gogol w Polsce".

Ewa Szelburg-Zarembina: Przed rokiem obiecałam, sobie i czytelnikom, odbudować trzeci tom „Wędrówki Joanny", którego rękopis spalił się w sierpniu w roku czterdziestym czwartym. Jednak nie mogłam zaoszczędzić tyle czasu i spokoju, aby to wykonać. Pracowałam bowiem nad rzeczami, które były niezbędne i pilne: w okresie, gdy dzieci nasze, szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, nie miały żadnych podręczników szkolnych do nauki języka polskiego i historii ojczystej — zajęłam się przygotowaniem dla nich książek zastępczych i pomocy szkolnych.

Może dlatego, że byłam czynną nauczycielką w szkołach powszechnych i w seminariach i zżyłam się tak bardzo z dziećmi i z młodzieżą, może dlatego, że już i przed wojną pisałam podręczniki (które zresztą przysparzały mi akurat tyle kłopotów co i radości), ale przede wszystkim chyba dlatego, że po koszmarze potwornej wojny w dzisiejszych „nieludzkich" czasach, dziecko wychować na **człowieka** (w niewątpliwym znaczeniu tego niestety zakłamanego, splugawionego słowa) jest rzeczą najważniejszą i jedynie ważną dla bliskich i najdalszych czasów nadchodzącego świata — odsunęłam na jakiś czas pisanie powieści i znowu zajęłam się podręcznikami. (Jest to zresztą praca zespołowa). W obecnym roku szkolnym wchodzą już one w życie, wydawane pieczołowicie przez firmę Gebethnera i zatwierdzone do użytku szkół przez Ministerstwo Oświaty.

Instytut Wydawniczy Związku Nauczycielstwa „Nasza Księgarnia" przygotował szereg wznowień moich przedwojennych książek beletrystycznych dla dzieci (jak „Rzemieślniczek Wędrowniczek", „Zuch" i inne). Państwowe Zakłady Wydawnicze wznawiają „Najmilszych", a także przygotowują dwie nowe moje barwnie ilustrowane książki „Wesoła praca" i „Towarzysze". Mam również umowy zawarte na drukujące się książki w Łódzkim Instytucie Wydawniczym i w „Wiedzy".

Teraz więc będę już chyba mogła zająć się dokończeniem cyklu powieściowego rozpoczętego przed wojną powieścią „Wędrówka Joanny", której czwarte wydanie ukaże się w najbliższym czasie u Gebethnera wraz z przerobionym przeze mnie tomem „Ludzie z wosku".

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—92, 94—95, 105—107 i 110—112 „Odrodzenia".

TRZEJ POECI „WIEJSCY"*)

Z trzech tomików poezji „wiejskiej", tj. wydanej staraniem Biblioteki Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich, każdy przedstawia zupełnie inne możliwości i kierunki wykorzystania i rozwijania „wiejskiego koryta" literatury polskiej.

Kubisz, Frasik i Piętak — to trzy stopnie oddalania się czy przetwarzania „autentycznego materiału" wiejskiego.

Paweł Kubisz, autor tomiku „Przednówek", pragnie stanąć najbliżej ludowości i regionalizmu. Poezje jego pisane są gwarą i przeważa w nich rodzaj epicki. Nie wchodząc w filologiczną analizę tej gwary, ze stanowiska literackiego trzeba wskazać jej zasadniczo fałszywy ton: stop gwary z literackim „nowoczesnym" (w cudzysłowiu) banałem poetyckim jest sztuczny i bardzo nieszczęśliwy. Mamy tu do czynienia nie z utalentowaną stylizacją, posługującą się celowo i po wirtuozowsku (jak bywa dziś często) zestawieniem nieadekwatnych elementów — lecz z nieudałym przedsięwzięciem artystycznym. Przykład: „Noc sie w buncie zagrzywo na *dynamit słońca*" — nowy banał; a są i stare rekwizyty: Stańczyk i Chopin obok e pochylonego i a pochylonego oraz najmniej „delikatnego" słownika, w którym „miesionc gębe rozdziawuje". Również budowa zdania i rytmika należąca do starej tradycji wersyfikacji patetycznej — dają wynik niepoważny w zestawieniu z prymitywem gwary. Przebłyski talentu znajdą się w niektórych utworach czy ich fragmentach: „W Gutach jest muzyka", niektóre części „Był we Frydku... był grof srogi!". Brak im przecie siły — i brak konsekwencji. Szlachetny poryw patriotyczny i społeczny cechuje tę twórczość ideową, która niestety nie wyrobiła sobie narzędzi wypowiedzi.

Poezja Frasika ma swoje osiągnięcia w ograniczonym zakresie.

Urodzony w drzew szumie
przechodzę sobie uboczem:
wiatr przynosi porę kwitnienia
więc kwitnie dal i polne źdźbło
i ja, jak umiem.

Połączenie ludowości sielskiej typu Lenartowicza i epigonów romantyzmu — z upodobaniem do „autentyzmu" zamyka świat uczuć i krąg widzenia poety. To, co widzi poza nim — widzi „nie swoimi" oczyma — i oczywiście bez dodatnich rezultatów poetyckich (próby historiozofii, retoryki, tematu wojennego, nieudałe utwory „okolicznościowe" czy programowe). Jest w tym typie uczuciowości duża wrażliwość, i to, co on nam ze świata i z natury chłopa odsłania, jest prawdziwe i może nowe. Nie wielki płomień buntu społecznego (który płonął niekiedy w literaturze ludowej), ani płomień namiętnej uczuciowości — lecz skromna świeczka w chałupie wiejskiej oświetla zbiedzone oblicze chłopa... Odwrotna strona medalu sienkiewiczowskiej „fantazji szlacheckiej"... Historycznie jasno się tłumaczy powstanie tych stron psychiki chłopskiej... Jakieś zbiedzenie, zdrobnienie, brak bujnej urody w tym świecie — oto struny, które bardzo wyraźnie dochodzą do głosu w fujarkowych piosenkach o kalinie (jeden z najlepszych cyklów tomiku: „Jesień dzieci"). Poeta ma wielką czułość dla tego światka i wszystkie drobne przedmioty równie w nim lubi. Zdrobnienia i brak hierarchii w materiale, w obrazowaniu są charakterystyczną cechą struktury tej poezji. Oto tylko źdźbła, tylko świat mojej wioski... Wielkich procesów natury, wielkich wtajemniczeń pracy ludzkiej — siejby, kłoszenia się, żywiołu ziemi — próżno szukalibyśmy w tej wiejskiej poezji. Inny jest wymiar duszy poety. Czasem przypomina nam świat ballad młodzieńczych Mickiewicza, gdzie naiwny liryzm, zaściankowość i „zdrobniała postać" świata były również wyrazem uczuciowości bardzo bliskiej kultury ludowej. (Są zresztą i bardzo znaczne różnice).

Widzenie świata pozbawione zarówno silnej zmysłowości jak i problematyki intelektualnej umie nam jednak po poetycku poddać bliskość rzeczy (nie bardzo zróżnicowanych). Leszczyna, kalina, orzeszki — byt ubogi, ale prawdziwy, i uboga radość. Symbole jej wybiera „autentysta" nie zawsze fortunnie, choć nie mniej charakterystycznie: właściwy wyraz poetycki ma „gęba miesionca" w zatraconej historii o „Grofie z Frydka" Kubisza — ale na pewno nie zamierzoną przez poetę reakcję wywołuje rzewna wzmianka o „pościeli schnącej na płocie" lub „niebieskim staniczku żony". (Podobnie jak — przedmowa poety do niniejszego tomu). — Świat, ukazywany przez Frasika, jest światem zewnętrznym i „licznym". Liryka Frasika jest impresjonistycznym westchnieniem. Nie jest głośna, ale ma swój wdzięk. Wypowiada się tu indywidualność poetycka dosyć bierna, mało wyodrębniona od świata rzeczy, które ogląda. Łączy się z tym pewna miękkość i — w formie dźwiękowej — obfitość imiesłowów, przymiotników o charakterystycznej morfologii: *śpiewny, drzewny, pleciony*. — Mimo „autentyzmu" (w tym rodzaju dobry „Pierwszy list do siostry" zmarłej) — wdzięk tej poezji jest na wskroś sielankowy, odpowiadający uczuciowości poety i nawiązujący dosyć świadomie do romantycznych tradycyj polskiej literatury ludowej (takie epitety, jak: „brzozapanna młoda"). Kierunek ten jest, jak się zdaje, właściwą drogą poety.

Tomik cechuje pewna monotonia oraz — przy ogólnej podatności uczuciowej — zbyteczna wrażliwość na wpływy. Ulubioną formą nieskomplikowanej konstrukcji wiersza Frasika jest wyliczenie — i tutaj ulega często poeta pokusie „tuwimizmów": „pola polem złotolite", „wiatr wietrzny", „borowiny czerwone czerwienią się", „w dłonie rosy rośnej urosił" itd. — Razi również maniera „upoetyczniania" przymiotników przez użycie ich w pretensjonalnej funkcji rzeczownikowej: „polna", „leśna", „rzewna", „pszeniczna", „muzyczna"...

W sumie: nie można odmówić tej poezji intuicji „świata drobnych rzeczy". Jako szczery przejaw chłopskiej psychiki jest ciekawym odsłonięciem pewnych jej stron.

Bogatsza jest poezja Piętaka, poezja, która robi wrażenie młodzieńczej i zapowiadającej możliwości na przyszłość. Z trzech poetów Piętak najdalej odszedł od „surowego materiału" wiejskiego. Nie ma tu gwary i nie ma „autentyzmu" — jest ciekawe i wiele obiecujące połączenie dążenia do literackiej kultury wyrazu poetyckiego — oraz biografii i psychologii chłopskiej, jako materiału i genezy. Jest to przede wszystkim poezja rozwijająca się; jest zarówno świadectwem ewolucji poetyckiej — jak i pamiętnikiem życia. — Tu znowu autentyzm — ale innego gatunku. — Problematyka — i pewne tendencje epickie są może najcharakterystyczniejszymi jej cechami, jeżeli chodzi o zakres i formę. Wyraźna indywidualność wyodrębnia się tu z materiału pejzażu i genre'u, kształtuje go w zdecydowany sposób.

Autor nie jest biernym zwierciadłem życia swojej wioski i przemian pogody nad nią. Piętak stwarza mit wsi. Jego ujęcie, np. obrazowanie, wykazuje wpływ, tradycji literackiej — Słowacki, Iwaszkiewicz. A więc jest to „nieśmiertelna ziemia" „w aureoli dębów i złotawych chmur"; rzeczka jest tam „przemieniona w postój złotych drzew", a „dwie samotne sosny" „idą w płaszczu pszczół". Wieś, gdzie w świetlnych skojarzeniach „koń mieni się w anioła", a w blaskach i tęczach stoją srebrni starcy, śpią z ptakami dzieci i miodem pachną kwiaty. Jest to kraj, powstały z tęsknoty poety o uczuciowości podobnej do Brodzińskiego.

Myślę, patrząc w kłosy zmienione,
że za brodem
znajdę szczęście, trzeba tylko zatrzymać
konie,
pożyć z ludźmi tej wsi...

(„Postój w nieznanej wiosce").

Te same akcesoria i ta sama potrzeba uczuciowa odrodziły się tu po wieku, na zapomnianej przez literaturę wiejskiej grzędzie. Świadectwo, że potrzeba jej uprawy — bo to są tony odrębne, a widać zakorzenione w jakiejś potrzebie narodowego czy ludowego charakteru (to nie sztuczna sielanka Konopnickiej...). Naiwnie autentyczna miłość rodzinna jest motywem wspólnym sielankom Frasika i Piętaka. Ten obraz wsi, jaki mamy u Piętaka, powstał z jego dwu chłopięcych miłości: do matki i do poezji. „Nie dla ziemi żyłem!" wyznaje naiwnie. Ale jest tu coś więcej niż romantyczne westchnienie. Poeta zdradza się tu z wielką tęsknotą, która od bytu chłopskiego pchała go ku kwiatom kultury ludzkiej, ku światu wartości estetycznych i moralnych. Ta droga od niezafałszowanego bytu swojego rodzinnego gniazda ku ogólnoludzkiej kulturze, droga połączenia obu tych cennych czynników, jest, zdaje się, właściwą drogą rozwoju kultury ludowej, literatury ludowej. Nie wydaje się tą drogą sztuczne zatrzymywanie jej na stopniu rozwoju dziecinnym — co nieraz propagują fałszywie pojęte programy regionalistyczne.

„Niezafałszowany byt" i — sielanka? — Tak. To charakterystyczne dla tego poety połączenie.

Miałem nad rzeczką przyklęknąć
z chmurką,
Ale i w wodzie trupy spuchnięte.
Żołnierki słońce pchają za górką.
Promienie wloką głowę uciętą.

(„Pobojowisko")

Kwiaty pachną słodko, a szorstkość rzeczywistości budzi gorzkie marzenie. Dotknięcie głodu, bólu — budzi poezję. Realność jest punktem wyjścia — marzenie wynikiem. Taki jest stosunek tych dwu czynników, jednakowo obecnych w twórczości Piętaka. Z tego skojarzenia otrzymujemy przekonywające poetycko obrazy. W wierszach jego po społu mieszkają „gwiazdy i zwierzęta". Bliskość ze „stworzeniem" współżyjącym na wsi jest przedstawiona w sposób daleki od śmieszności czy nudy — a z całym urokiem wspomnień dzieciństwa. (Zaznaczyć trzeba, że bierzemy tu pod uwagę poziom ustalony przez najdojrzalsze wiersze tego tomu. W młodzieńczych naiwna i programowa „poetyka chłopska" prowadziła nieraz do efektów zabawnych, jak idea natrętna „rogatego inwentarza" w każdym utworze...). „Chcę spać z księżycem we włosach tak samo jak nasz pies". Albo: „Jestem tutaj wśród kwiatów ukryty jak mysz"... Odczucie pejzażu wiejskiej równiny narzucił czytelnikowi poeta z wielką świeżością. Poeta o własnej indywidualności — staje się przecie „bezimienny" w swoim świecie, stowarzyszony z jego zjawiskami. „Jestem roślinnych ust najcichszy kwiat". I rzeczywiście, potrafi narzucić czytelnikowi swoją bezimienność — a wrażeniom świata przywrócić dzięki temu ich „pierwszość" dla nas, odrzucić przesłonę zbanalizowanych „szufladek" pojęciowych, w które zwykle automatycznie składamy „nazwane" przedmioty. Potrafi uczynić to, co czynią wielcy pisarze: niewyszukanej rzeczywistości, rzeczywistości takiej, jak jest, rzeczywistości, w której się znało kurcz głodu i trupią spuchlinę — nadać wartość poetycką. To zwycięski początek drogi pisarza chłopskiego.

„Sztuka poetycka" Piętaka? — To szczęśliwe przeważnie połączenie we właściwych proporcjach realizmu z metaforyką, elementów wiejskich (jakieś wyrażenie ludowe, czasem szczegół składniowy) z kulturą literacką. Nie wszędzie od razu na tę właściwą miarę trafiał — tom jest świadectwem ewolucji. We wcześniejszych wierszach przeważa wyobraźnia, metafora i pewna „nowoczesna" maniera (luźna forma rytmiczna), jak i przesada „programowa" w „wiejskości" (co nie znaczy, aby mimo to nie było tam pięknych wierszy!), w późniejszych refleksja (wpływ wojny na problematykę — i temperament twórczy), przypisywanie wagi budowie zdania, nawiązanie do tradycji poetyckiej, regularna strofika. W ewolucji tej ostatnio się wyraźna w jego poezji skłonność do postawy epickiej. Nie idzie tu tylko po prostu o wyraźnie epickie fragmenty, których jest dość wiele, ale o skłonność do wplatania akcji, do chętnego przedstawiania „od zewnątrz" postaci i zdarzeń w jego wierszach lirycznych. Ta tendencja wykazuje głębsze pokrewieństwo uczuciowości poety ze źródłami ludowymi, niżby to mogły sprawić tak powierzchowne efekty, jak np. używanie gwary.

Charakter obrazów i problematyki również nie ulega jakimś zasadniczym zmianom w tej ewolucji poety. (Próg stanowiła wojna). Typ obrazowania i uczuciowości — ze słodyczą i ciszą — w odróżnieniu od Frasika — łączy patos. Uczuciu i refleksji nie brak siły, choć nutą dominującą jest retrospektywny smutek.

O czym ta refleksja? Na problematykę składa się odwieczne pytanie o sens bytu — i gorycz doświadczenia historycznego.

W sposobie postawienia pytania metafizycznego jest taka naiwność i bezpośredniość, jakby je sobie zadał chłopak na pastwisku (co jest może „skuteczniejsze" artystycznie niż wyrafinowany kunszt poetycki):

Ano tam w niebie nic pewnego nie ma
ja też muszę się na te słowa zgodzić.
Taka dlatego droga jest nam ziemia.
W samej rzeczy, po co się człowiek
rodził

Czy to jest cały plon poety? Nie. Jako rodak mówi rodakom (w wierszu pod tym tytułem): „Kto, jak wy, umiał wyżyć wśród męki i głodu przez wieki, ten niech zna dni piękna..." — a jako poeta powiada:

Niewiele zdarzeń trzeba, by o chwili
zapomnieć. Na trupy patrzyłem na
piasku,
a oto się radości kryć nie silę —
śpiew konie poi u bliskiego lasku.

To pierwszy krok zwycięski. Są bardzo znaczne niedociągnięcia, nieopanowanie słownika, formy zdaniowej i rytmicznej, które prowadzą do naiwności sztucznej składni poetyckiej, gdzie słowa są nieraz niezręcznie „stawiane". Ale są też rzeczy piękne. Wyróżnia się cykl I i VII, wiersze „Samotność", „Po latach", „Nad sobą samym", „Gwiazdy", „Obraz dawny", „Sandomierskie w kwietniu 1945", „Stare miasto w Warszawie", erotyki „M. przeszła ulicą", „Przechadzka z ukochaną".

Janina Pregerówna

*) **Biblioteka Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. T. I. Paweł Kubisz.** Przednówek Poezje. Wydanie drugie. Łódź. 1946; str 92 i 4 nl. — **T. II. Józef Andrzej Frasik.** Urodzony w źdźble. Poezje. Kraków 1946; str. 156 i 4 nl. — **T. III. Stanisław Piętak.** Dom rodzinny. Poezje. Kraków. 1947; str. 141 i 3 nl.

Szkoła krytyków

ODPOWIEDŹ TROCHĘ SPÓŹNIONA

Na skierowany pod adresem „Szkoły krytyków" artykuł Wilhelma Macha (por. „Odrodzenie" z dnia 5. I. 1947) odpowiadam z niejakim opóźnieniem. Nie dlatego, ażebym chciał koniecznie naśladować pocztę w okresie świątecznym, kiedy list z Warszawy do Krakowa szedł dziesięć dni. Raczej dlatego, że po pierwszej i drugiej lekturze skargi Macha wydawały mi się tak słuszne, że trudno było wiele dorzucić.

Tak. To niełatwe zadanie pogodzić z sobą te wszystkie sprzeczne warunki, jakie powinno spełniać sprawozdanie krytyczne. Krótkie i — wyczerpujące. Rzeczowe i — zdobne w dobre metafory krytyczne. Dla pisarza i dla czytelnika napisane. Niełatwa sprawa. Ale po ponownej lekturze inne pytanie stanęło mi przed oczyma. Oto Mach stawia paradoksalną tezę: wyobraźmy sobie, że nagle nastaje urodzaj na krytyków. I gdzie to wówczas drukować? W tych kilku tygodnikach i jednej „Twórczości"? — „Szkoła krytyków w swej dobrej woli jest trochę podobna do zbyt gościnnego gospodarza zbyt małego domku" — takim to towarzyskim zwrotem kończy Mach swój paradoks.

Zgoda. Ale dlaczego ten domek wszędzie jest dzisiaj mały, a już szczególnie ciasny w Polsce? Czyli — formułując to samo pytanie innymi słowy — czy brak krytyki nie jest przypadkiem jakimś ubocznym objawem innego, znacznie donioślejszego procesu? W tym samym numerze „Odrodzenia" Wojciech Natanson skarżył się, że literatura nie jest popularna. Także zgoda. Ale dlaczego nie jest popularna? Wszystkie te pytania i wątpliwości zmierzają, w moim przekonaniu, do jednej zasadniczej wątpliwości.

Takiej oto: czy wśród tego szukania sensu obecnych przemian społecznych i historycznych, wśród tych pytań o cel i przyszłość naszej cywilizacji, gdy tajemnicze dla laika formuły uczonych zyskują nagle wagę przerastającą nasze pojęcia, literatura współczesna — i to nie tylko polska — daje jakiś podstawowy zespół odpowiedzi, czy raczej daje zespół uboczny? Czy większa poczytność dobrego essayu filozoficznego lub trafnej rozprawy socjologicznej u obecnej publiczności (tej, z której zdaniem liczyć się warto, nie piszemy o nałogowych pożeraczach książek) nie jest przypadkiem świadectwem, że w ten sposób zaspokajane są potrzeby, których zaspokojenia darmo szukać u poetów i prozaików? Wiem doskonale, że poeci i prozaicy nie od tego są jedynie, by dublowali role uczonych, ale do pewnego stopnia od tego są również. Jeżeli niżej tego stopnia zejdą, ludzie przestaną się w ogóle ich pytać o zdanie. Czyli przestaną kupować książki.

Nie chodzi o to naturalnie, by się kajać w obliczu nieuków, i tych, co przez zamknięte okładki wszystko lepiej wiedzą. Chodzi o co innego: w dyskusji o prozie, jaką w ubiegłym tygodniu omawialiśmy, Andrzej Stawar powiedział, że za Balzaka nie było jeszcze statystyki i ekonomii, ale skoro dzisiaj już one istnieją i mają wydzielone zakresy badań, pisarz może spokojnie śledzić przemiany społeczne nie według ich rubryk, ale według rozwoju poszczególnej indywidualności. Tym gorzej dla pisarzy! Bo skoro istnieją nauki eksploatujące pola uprawiane dotąd zastępczo przez pisarzy, nie łudźmy się, by czytelnik współczesny nie zapytał prozaików i poetów: — dobrze, ale jak z waszą ścisłością? Czym objaśniacie mi wygląd świata? — I pytania takie czytelnik obecny stawia częściej, aniżeli pisarze je słyszą.

A skoro tak — domek, który jest ciasny, gotów się stać jeszcze ciaśniejszy. Coraz to nowe czasopismo czysto literackie, które upada w Polsce, ma w tym względzie wymowę niebezpiecznego symptomu; widocznie teksty czysto literackie nie wystarczają. Biadało się tutaj nieraz nad nadmiarem drukowanej tandety i nie przestanie się biadać przy każdej sposobności. Ale oprócz konkurencji ze strony tandety są również inne powody poczynającego się kurczyć domku literatury polskiej. Oby te powody pozostały tylko wątpliwością rzuconą na marginesie skarg Macha i Natansona. Oby nie okazały się prawdą...

kjw

WCIĄŻ OBOZY

Adam Paszkowicz „Kapitan". Wróciłem z Mauthausen. Łódź. „Poligrafika", 1946; str. 38 i 2 nl.

Jeszcze jedno wspomnienie, tym razem więźnia z Mauthausen, które ma dobre prawo do „rywalizacji" z Oświęcimiem, Buchenwaldem i Majdankiem. Chociaż obserwujemy zniechęcenie i odwrót czytelnika od literatury grozy, racjonalność wydawania pomników strasznych lat jest niezaprzeczona, gdy w Wiedniu, na zgromadzeniu młodzieży studenckiej, w murach uniwersytetu, aplauz zbiera szczeniak za publiczne wyznanie „byłem w SS!", a jedna z naczelnych figur I. G. Farbenindustrie, Schnitzler, producent niedoścignionego w sile zabójczej gazu, cieszy się w zachodnich Niemczech wolnością.

Paszkowicz daje kilka obrazków („Głód", „Chaimek", „Psy", „Trup za 10 papierosów", „Matka"), niektóre rozwijając do rozmiarów małych opowiadań. Z wszystkiego, co wspomina o pięciu latach spędzonych w Mauthausen, najbardziej porusza moment, gdy gromada skazańców idzie na zniszczenie:

„Po chwili brama krematorium rozwarła się, Trum dał ręką znak i więźniowie, wyskakując z szeregów, zaczęli tłoczyć się do wejścia. Każdy chciał wejść jak najprędzej, by się schować przed świszczącym mroźnym wiatrem."

Potrzeba ciepła była silniejsza niż strach przed śmiercią.

SS-man, który dziś studiuje w Wiedniu, stał na straży, by nikt z kolejki czekających „na gaz" nie uszedł, gdy „próby gazu" dokonywał sam dyrektor I. G. Farbenindustrie Schnitzler. W Mauthausen SS-man nazywał się Trum i jest bardzo prawdopodobne, że korzysta z samarytańskiej opieki w jednej z zachodnich stref okupacyjnych Rzeszy. Po jego ofiarach nie ma śladu, a jeden z niewielu uratowanych trafem, ma „wciąż pełne oczy" obrazów, które porażają myśl, uczucie i wolę, i których wciąż jeszcze nie podobna oddać ludzkim słowem.

Józef Sieradzki

POZNAŃ — MIASTO NOBLIWE

Miasta poznaje się po afiszach.

Półtora roku temu Kraków dziesiątkiem plakatów spraszał przyjezdnych na całonocne zabawy; proponował zbiorowe i indywidualne lekcje swinga, tańce klasyczne, narodowe, powszechne wykłady uniwersyteckie. Miastem rządziła królowa humoru Beata Artemska, krakowianie przyjaźnie kiwali z Blichu pociągom z repatriantami i wołali: „Na Boże Narodzenie wrócicie".

Tej samej jesieni w Poznaniu widniały tylko dwa afisze: na jednym Kuria Arcybiskupia zapowiadała obchód ku czci Chrystusa-Króla, na drugim — równie wielkim — swój przyjazd Wróżka Pari-Banu. Dziś — jako „początkujący krakowiaczek" — ogłasza się tam nawet Artur Maria Swinarski. Mimo to w Poznaniu jest zawsze mniej afiszów niż w Krakowie: mniej „wieczorów", mniej rewelacji, mniej reklamy. Poznań jest najmniej krzykliwym miastem w Polsce.

Odbudowę miasta najłatwiej dostrzec wieczorem. Półtora roku temu na poznańskim placu Wolności było wieczorem ciemno, w Starym Rynku jeszcze ciemniej. Cieniutka struga ludzka sączyła się między przepalonymi fasadami na Chwaliszewo, Śródkę i Osiedle Warszawskie. Dziś na placu Wolności jest nocą jasno jak w dzień, na wypalonym Starym Rynku świecą wieczorem dziesiątki zamieszkałych okien. Jest to **świetlna reklama** wysiłku miasta: jedyna reklama, jaką posługuje się Poznań.

Warszawska „Skarpa" chciała poświęcić specjalny numer odbudowie tego miasta. W warszawskim BOSie pracuje osiemdziesięciu inżynierów, w poznańskim pięciu. Ale o odbudowie Poznania nie ma kto napisać. Z łódzkiego „Klubu Pickwicka" do Poznania daleko, jeszcze dalej z krakowskiej Krupniczej. Po co jeździć, skoro tyle rzeczy można napisać w domu, za biurkiem, nie widząc niczego. Zresztą poznańscy literaci widzą i także nic nie piszą.

Za to podwójnie pracują dziennikarze. Kiedy przyjeżdżacie do Poznania, na żadnej budowie, w żadnym biurze technicznym nie powiedzą wam niczego, jeśli nie zgłosicie się wpierw do prezydenta miasta albo do jego biura prasowego. W ciągu roku bowiem wytrwałej pracy tego miasta nad odbudową, wytrwale wypisywano głupstwa o tej odbudowie. Rozmaicie podpisywano rozmaite gmachy, „Przekrój" mianował Echy sobie budynek zamkiem, ciężkim trudem ożywione ulice nazwano „świetną odbudową". „Pogłębianie problemu" święciło tryumfy w nic umiejącym pisać i mówić o sobie Poznaniu. Rezultat tego wytrwałego współudziału prasy krajowej w trudzie odbudowy miasta nie dał na siebie długo czekać. Gdzie tylko prezydent miasta przyjechał po pieniądze, odpowiadano mu z oburzeniem: „Przecież wy się sami świetnie odbudowujecie, po co wam pieniądze". Dziś poznańska Miejska Rada Narodowa prosi Komisję Komunalnego Funduszu Pożyczkowo-Zapomogowego o zapomogę w kwocie 14 milionów złotych, bo miasto nie ma czym zapłacić Daniny Narodowej.

Mimo to Poznań daje sobie radę. W Warszawie i Gdańsku poszczególne ulice uprzątają instytucje, pracownicy urzędów. W Poznaniu włoski ratusz Jana Battysty di Quadro odbudowują nowożeńcy. Weźcie do ręki „Głos Wielkopolski". Łatwo odszukać tu rubrykę „Z okazji ślubu na odbudowę ratusza składają..."

Ale też żadne inne miasto nie zakupuje w swoim dzienniku tak wystawnych nekrologów jak Poznań. Otwieracie rano „Głos Wielkopolski" — cała strona w drogie, czarne kraty: „umarł szczegodny mąż, zacny obywatel..." Oglądacie się po południu za pogrzebami: nigdzie ich nie widać. Żadne miasto nie mówi o zmarłych głośniej i żadne miasto nie odsyła ich na cmentarz ciszej niż Poznań.

Pojęcie postępu „szerokich warstw poznańskiego społeczeństwa" ma niewiele wspólnego z podobnym pojęciem „społeczeństwa galicyjskiego". W Galicji postęp to przede wszystkim zmiana poglądów; w Poznaniu — jeszcze jedno ubranie, jeszcze kilo kiełbasy, radio, motory, nowe mosty i nowe trolleybusy.

Kupiectwo poznańskie posiada stale na składzie jedyne w Polsce materiały na nobliwe garnitury i nobliwe sukienki. Zawsze co najmniej o sto lat starsze od naszych kupców, w szczególności zaś kupców wojennych, jest głęboko przywiązane do religii i tradycji. W gwiazdkowym konkursie wystaw sklepowych jedno z odznaczeń Izby Przemysłowo-Handlowej osiągnęło okno na ulicy Mielżyńskiego. Wśród nocnych koszul Matka Boska kołysała tu Dzieciątko Jezus.

Półtora roku temu w Poznaniu nie czekano na specjalną dachówkę kościelną. Jeden z najstarszych kościołów, św. Jana na Śródce, poszyto jak przed wiekami słomą. Pół roku temu odkryto w katedrze poznańskiej przedromańską rotundę ale... prostokątną.

Gdyby się taka „rotunda" zdarzyła się w Krakowie! Wszystkie podwawelskie „ikace" roztrąbiłyby odkrycie na cztery strony świata, a docent Hensel nie musiałby pytać groźnie murarskiego majstra, gdzie się podziało kilka kamieni z poznańskich murów Feliksa i Adaukta.

„Krakusy" nie robią takich głupstw. Kilkaset już lat dobrze zarabiają na przeróżnych kryptach, grobach, starych murach i dobrze wiedzą, ile można wyciągnąć od wycieczek z takiego starego kamienia. Pilnie przechowują parę starych kamieni z murów katedry Bolesława Chrobrego i Kazimierza Odnowiciela.

Ale Poznaniacy? Ci nigdy nie żyli ze swoich zabytków. Porachujcie, ile „pamiątek z Krakowa" kupicie w Krakowie, a ile „pamiątek z Poznania" dostaniecie w Poznaniu! Ilu ludzi w Krakowie żyje ze świecidełek, maskotek, wawelskich albumików i góralskich ciupag, a ilu w Poznaniu z odpowiednich regionalnych chwytów!

O, Wielkopolska jest uboga w maskotki! Nawet dobrych zdjęć Ostrowia Tumskiego, Psałterii czy Góry Przemysława nie umie puścić na handel.

Ale za to Wielkopolska wstydzi się kupować na deka — pół funta jest tu już miarą ubogich; ale za to w Poznańskiem w co drugim, najnędzniejszym nawet skleconym domu — patefon, radio, motor, kilka ubrań, kilka oleodruków.

Nie ma w Poznaniu Sukiennic, nie ma maskotek i kasetek, choć jest kupiectwo wiekiem równe krakowskiemu. Nie ma ludzi, którzy by dzień spędzali na wystawaniu pod ich arkadami. Nie ma dzieci żebrzących i dzieci o jedenastej w nocy sprzedających papierosy koło Głogowieckiego albo pod „Scalą". I są dorośli, którzy by się wstydzili robić to co robi w lecie Kraków, gdzie co druga rodzina otwiera w bramie na stojaczku walizeczkę z papierosami.

W Poznaniu papierosy dostaniecie tylko w kiosku, bo w Poznaniu są dorośli, którzy by się wstydzili, gdyby ich dzieci sprzedawały po ulicach papierosy.

W Poznaniu nie ma nie tylko Sukiennic. W Poznaniu nie ma linii A-B, nie ma Piotrkowskiej.

Jest „Święty Marcin", a raczej „Marcin", jest corso — nie przesadzajmy.

Ale nie ma ludzi, którzy by dzień spędzali na corsie, a noc w lokalu. Wśród tysięcy biednych repatriantów ze Lwowa znajdują się także repatrianci z ulicy Akademickiej. Kto znał Lwów przedwojenny, a potem „twardy" i „miękki" niemiecki, ten łatwo odnajdzie tę warstwę repatriantów na linii A-B. Nie zmienili duszy ani zawodu. Zmienili tylko miejsce pobytu. Dlaczego nie zaaklimatyzowali się na corsie w Poznaniu, dlaczego tak łatwo i tak mocno utknęli w Krakowie?

Wszystko to nie znaczy, że w Poznaniu ludzie nie handlują, nie „żyją". W Poznaniu właśnie więcej handlują a mniej „spekulują", czyli mniej oszukują. W Poznaniu mniej galicyjskich fortun wojennych. Słój społeczny przetrwał bez większych przemian. Sklepów i mieszkań żydowskich prawie nie było, a sklepy „poniemieckie" to sklepy sześć lat temu odebrane Polakom przez Niemców. Poznańskie fortuny nie rosną z dnia na dzień, ale też nie padają z dnia na dzień, nie kończą się z dnia na dzień w kryminale.

Właśnie Poznań jest miastem typowo „komercyjnym", lubiącym dobrze zarobić, dobrze zjeść i dobrze się ubrać. Poznaniacy nie lubią Galicji, nie lubi gładko politykującego jaśniepaństwa, któremu wszy łażą po kołnierzach. To jest ordynarne, ale jakże uparte tam w Poznańskiem i jakże wymowne skojarzenie Galicji. Poznaniak nie zacznie filozofować, nie będzie politykował, dopóki nie ma w domu porządku, dopóki w kuchni nie ma zapasów, w szafie ubrania. W Poznańskiem nie rzuca się napiwkami, nie „gra się pana", ludzie się liczą z groszem, ale też nie żebrzą.

W lecie Kraków jest nieprzyjemnym miastem. Na każdym rogu śpiewają kaleki, ludzie bez nóg i rąk kładą się w poprzek spacerowych alei, pokazują kikuty, blizny i szramy; żebrzący obchodzą po kilka razy dziennie planty; przepraszają z uprzejmym niedowierzaniem, kiedy się im mówi, że już dzisiaj dostali, nieletnie dzieci i starzy ułomni specjalizują się w natrętnym nagabywaniu par wracających wieczorem z teatrów, koncertów, idą, nie odstępują, szantażują. Miasto najbardziej w Polsce wystawne jest równocześnie miastem najbardziej żebraczym.

Przecież za pieniądze oddawane codziennie przez Kraków żebrakom, można by ich wszystkich wspaniale utrzymać w dobrym pensjonacie, dać tam zajęcie, które dałoby ich życiu jakąś wartość, a całe rodziny żyjące z żebraniny swoich ślepych, garbatych i kulawych zmusić do produktywnej pracy.

W Poznaniu, jak miasto długie i szerokie, nie spotkacie żebraka. Czasem, czasem.

W Poznaniu nie ma zwyczaju oddawania biletów tramwajowych. Konduktor poznański obraziłby się, gdyby mu ktoś spróbował dać parę złotych, jak to robią obywatele innych miast, nie przyjmując biletu. Nie chce być żebrakiem. Człowiek poznański lubi dobrze zarobić, ale nie lubi oszustwa.

Oto jeszcze jedno, dlaczego Poznań odbudowuje się najszybciej.

Franciszek Gil

KORESPONDENCJA

WYJAŚNIENIA AUTORSKIE

Do redaktora „Odrodzenia"

Niestety, p. Peiper jako recenzent teatralny wciąż jeszcze nie umie dostatecznie wiernie odtworzyć czy streścić omawianego przez siebie utworu scenicznego. Głośne były w zeszłym sezonie jego gaffy przy omawianiu „Jazona" Swinarskiego i „Dwóch teatrów" Szaniawskiego. Również w serii jego artykułów o „Fantazym" trafiały się podobne braki, polegające na mylnym przedstawieniu zasadniczych idei utworu. Podobnie przydarzyło się p. Peiperowi i w recenzji o mojej komedii „Soczewica koło miele młyn", co zmusza mnie... w imię... zabrać głos... celem itd.

Motyw kmiecia Ziemi jest tam natury symbolicznej, jak samo nazwisko wskazuje — Ziemia. Chodzi o ziemię jak zwykle w sporze polsko-niemieckim, odkąd na świecie powstał. Tak było w X wieku, w XIV i w roku 1939. W komedii nie ma sprawy kmiecej, ale recenzent pisze: „Korzystniej przedstawia Flukowski sprawę kmieci. Czyni z nich rasę urodziwą, czyni z nich ludzi wiernie i ofiarnie strzegących ziemi, czujnie śledzących niemieckie przygotowania do walki, ale — tu ich wada — lekkomyślnie przeceniających własne siły i dlatego padających pod chytrymi ciosami Niemców". Te wnioski recenzenta są wynikiem ujrzenia na scenie trojga kmiecych dzieci, między 12 a 16 rokiem życia, obcujących z niemieckim niebezpieczeństwem naiwnie, po dziecięcemu. Ojciec ich nie ukazuje się na scenie ani razu. W całej sztuce osoba jego tyle ma znaczenia, ile w niej tkwi symboliki płynącej z nazwiska — Ziemi. Ani więc „rasa urodziwa", ani „wiernie i ofiarnie", ani „czujnie", ani wszystko inne, bo co napisał p. Peiper — jest jego osobistą wizją. Za to z tych, którzy czujnie śledzą „niemieckie przygotowania do walki", jest rolny książęcy Wituch, o którym p. Peiper powiada, że „niebezpiecznie mylnie relacjonuje arcyważna sprawę uzbrojenia". A tymczasem właśnie rycerz Łokietka, Wituch, niby to po pijanemu wyciąga z Sudermana wiadomości o posiadanej przez Niemców broni i rzecz tę przekazuje do wiadomości księcia i księżny. Już w pierwszym obrazie jasno widać, że Wituch bystro obserwuje otoczenie ciemnej ulicy Szewskiej i Ostrokołów.

Skąd recenzent wziął dane, że Łokietek w trzecim akcie jest boso i zgrzebnie ubrany, „bo powrócił od robót ogrodowych, które wykonywał wespół z parobkami?" Wyraził się tak co prawda wójt Albert, ale była to zjadliwa złośliwość na szyderstwa Łokietka o Zygfrydzie. Jeśli recenzent tego nie zrozumiał, to znaczy nie zrozumiał i sprawy wyniesienia na rozkaz Łokietka zydlów i tronu z sali. To znaczy nie zrozumiał całej gry księcia, polegającej na wyrażeniu pogardy i lekceważenia dla zdrajcy i wroga.

Ponieważ, jak z tego wynika, p. Peiper nie łatwo chwyta oczywiste rzeczy, więc wyjaśniam, że postawienie Alberta w konieczności odbycia audiencji na stojąco jest aluzją do próżnych jego marzeń i apetytów na tron krakowski; a zgrzebny ubiór, przebranie się w strój żniwiarza, to aluzja do sprawy Ziemi — kmiecia Ziemi, w ogóle ziemi, walki o polską ziemię. Jakby w postaci Łokietka wójt Albert spotkał zmartwychwstałego zabitego wczoraj Ziemię. Ale ziemię — symbol a nie jakąś „rasę urodziwą".

„Jak się ma ziemię, to ma się wszystko". Ten aforyzm recenzent przytoczył, ale go nie zrozumiał i nie pogłębił, chociaż wyraża on istotę sprawy, kiedy idzie o walkę na śmierć i życie między dwoma narodami. „Soczewica koło miele młyn" jest tylko oddaniem momentu takiej walki, krwawego wycinka naszego życia. A podobna chwila zawsze łączy w sobie zadziwiające sprzeczności: groteskę i patos, pospolitość i wzniosłość, wulgarność i subtelność uczuć. Aby to móc zrozumieć, trzeba samemu chociaż na krótki czas znaleźć się w walce na śmierć i życie.

Ograniczam się tylko do sprostowania nieścisłości faktycznych, pozostawiając resztę błędów recenzenta komu innemu.

Stefan Flukowski (Kraków)

DROGA WIODŁA PRZEZ CZERWONĄ HISZPANIĘ

Do redaktora „Odrodzenia"

W „Tygodniku Warszawskim" niejaki Z. K. w polemice ze sfingowanym wywiadem z arcybiskupem Felińskim posyła parę kamyczków i w moją stronę, pisząc o „dzisiejszym nastawieniu p. Pruszyńskiego". Widocznie w odróżnieniu od jakichś „wczorajszych".

Przyjmę ten kamyczek z pokorą chrześcijańską, poproszę tylko o więcej łacińskiej precyzji. O jakie „dzisiejsze" nastawienie chodzi panu — czy księdzu — Z. K.? Może imputuje mi przekonania marksistowskie? Niech się w takim razie poinformuje w kurii „Kuźnicy", czy kiedykolwiek, gdziekolwiek i jakkolwiek zgłosiłem akces do tego wyznania. Powiedzą mu, że nie.

— Dzisiejsze? Niech sobie działacz katolicki Z. K. poczyta to, co nie w roku pańskim 1946, ale w 1936 pisała Katolicka Agencja Prasowa pod redakcją ks. prałata Z(ygmunta) K(aczyńskiego) na temat wojny hiszpańskiej, i z jakimi wyzwiskami przyjęła wtedy moje — wciąż wcale nie marksistowskie — o tej wojnie reportaże. — 1936. — Nastawienie dosyć wczorajsze.

Jeśli zaś chodzi o „Wielopolskiego", to Z. K. i w tym wypadku się myli, pisząc o moim „dzisiejszym" nastawieniu. „Margrabia Wielopolski" był pisany, publikowany i wreszcie wydany w Londynie, w latach 1942—44. Wtedy właśnie, niezwłocznie po powrocie z Rosji, dokąd mnie posłał śp. gen. Sikorski, uznałem za dziejową konieczność porozumienie z Rosją i bodaj jedynym bronił em tego programu — nie w okresie, kiedy Armia Czerwona podchodziła pod Berlin, ale jeszcze wtedy, gdy w śmiertelnych walkach zmagała się na przedpolach Stalingradu. Zwalczali mnie wtedy nawet ludzie, co potem pospieszyli do sowieckiej ambasady, a wówczas odmawiali mi papieru na druk moich książek, jak to czynił pewien londyński (bardzo katolicki), minister oświaty.

Jest mi tylko niezmiernie przykro i trochę nieswojo, że tego rodzaju „pomyłki" popełnia organ, redagowany przez wieloletnią podporę i ozdobę naszej myśli katolickiej — księdza prałata Zygmunta Kaczyńskiego, od lat wysuwanego przez hierarchię kościelną jako najbardziej — widać — powołane porte-voix Kościoła w Polsce. Ksiądz prałat przecież dobrze wie, że moje liberalne, lewicowe, czy „czerwone" sympatie nie datują się od przedwczoraj, a moje stanowisko za porozumieniem z Rosją zaczęło się dosłownie pierwszego dnia wojny niemiecko-sowieckiej. Czy trzeba mu to aż przypominać? Wolałbym nie (on też zapewne...).

Ksawery Pruszyński

P. S. Serdeczne pozdrowienia nadsyłam Panu Redaktorowi z Rzymu. Bardzo tu pięknie. Tutejsza prasa katolicka zarówno pod względem formy jak treści stoi na najwyższym poziomie fair play. Ach!

K. P.

UCZNIOWIE LEPIEJ WIEDZĄ

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 3 (112) „Odrodzenia" z dnia 19. I. br. został zamieszczony fragment poematu Majakowskiego „Dobrze" w przekładzie Artura Sandauera.

Zauważam, że autor poematu „Dobrze" nazywał się Włodzimierz (Władimir) Majakowski, a nie jak mylnie podano Aleksander Majakowski.

Józef Rozewicz
uczeń kl. IV gimn.
Bytom, ul. Prusa 36

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule moim pt. „Kilka uwag o realizmie malarskim" w numerze 3 (112) w szpalcie pierwszej, wiersz 24 od dołu, zamiast „zarysowuje się ta przeszłość" ma być „zarysowuje się ta przyszłość"; w szpalcie trzeciej, wiersz 32 od dołu, zamiast „natychmiast" ma być „natomiast".

Tadeusz Dobrowolski (Kraków)

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

PROZA DOKUMENTARNA

Jerzy Pertek. Wielkie dni małej floty. Z przedmową komandora Włodzimierza Steyera. Poznań, Wydawnictwo Zachodnie, 1946; str. 190 i 2 nl i 1 tabela luźna.

Dr Adam Próchnik. Idee i ludzie. Z dziejów ruchu rewolucyjnego w Polsce. Okładkę projektował Ignacy Witz. Warszawa, „Wiedza", 1946; str. 240 i 8 nl. — 280 zł.

ROZPRAWY

Łomonosowskije Cztienija. **A. F. Arbuzow.** M. W. Łomonosow wielikij russkij uczenyj-chimik. Moskwa, Mołodaja Gwardija. 1945; str. 31 i 1 nl. — 10 zł.

Dr Aleksy Deruga. Aktualność Żeromskiego. Warszawa. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1946; str. 45 i 3 nl. — 20 zł.

Stefan Dziubak. Samokształcenie jednostkowe i zespołowe. Wskazówki z zakresu techniki i organizacji. Warszawa, Centralna Poradnia Samokształcenia przy LIOiK, 1946; str. 47 i 1 nl.

TEATR

Jan Podkowa. Biała sukmana. Sztuka w III aktach z epilogiem. Kraków, Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, 1946; str. 48. — 30 zł.

Maria Rokoszowa. „Od Bronowic do Racławic". Inscenizacja wg wierszowanej powieści chłopskiej Włodzimierza Tetmajera pt. „Racławice". Kraków. Towarzystwo Teatru i Muzyki Ludowej, 1946; str. 62 i 2 nl i 3 ilustracje. — 30 zł.

FILOZOFIA, PRAWO, SOCJOLOGIA

Dr Maurycy Anhalt. Źródła postępu technicznego w kapitalizmie. (Prawo ludności). Warszawa, „Wiedza", 1946; str. 147 i 1 nl. — 220 zł.

Dr Stefan Moroz. Ograniczenie własności prywatnej w zakresie administracji pocztowo-telegraficznej. Kraków, Drukarnia Pocztowa. 1946; str. 75 i 5 nl.

Polska Biblioteka Prawa. Tom I. **Dr Andrzej Mycielski.** Historia filozofii prawa. Część I. Starożytność. Zeszyt 1. Wrocław, Księgarnia Akademicka, 1946; str. 31 i 1 nl. — 60 zł.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

T. Grzebieniowski. About England and America. Podręcznik do nauki języka angielskiego. IV rok nauczania. Wrocław, Książnica-Atlas, 1946; str. 143 i 1 nl. — 160 zł.

STATYSTYKA, ROCZNIKI

Rocznik Akademii Handlowej w Poznaniu. Rok 1945 i 1945/46 Poznań, 1946; str. 177 i 3 nl i 1 ilustracja

Ministerstwo Oświaty. Prace Biura Badań i Statystyki pod redakcją **Dra Mariana Falskiego.** Szkolnictwo w liczbach 1944/45. Warszawa. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. 1946; str. 8 i 45 i 3 nl. — Szkolnictwo w liczbach. 1945/46. Tamże; str. 79 i 1 nl.

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

W koncercie Filharmonii w dniu 24. I. wystąpił młody dyrygent **Witold Kałka-Rowicki**, znany w naszym świecie muzycznym z tego, że zorganizował w Katowicach najlepszą obecnie w Polsce orkiestrę w rozgłośni tamtejszego Polskiego Radia.

Kałka-Rowicki, krakowianin, przedstawił program złożony z Symfonii Haydna G-dur, Suity na orkiestrę Szabelskiego oraz Koncertu fortepianowego a-moll Paderewskiego, w którym partię fortepianu odegrała **Barbara Korytowska**. Młody dyrygent dał dowody dużego talentu. W Symfonii Haydna przedstawił własną koncepcję tego utworu, jasną, plastyczną, obiektywnie ujętą. Był to Haydn słyszany przez dzisiejszego muzyka. Ładnie wyprowadzono tematy pierwszej części, podkreślając robotę tematyczną, kontrasty dynamiczne i instrumentacyjne.

Wykonaniem Suity Szabelskiego Kałka-Rowicki dowiódł, że orientuje się dobrze także i na terenie muzyki współczesnej. Wprawdzie „współczesność" tej kompozycji należało by dziś już postawić pod znakiem zapytania (nie może to zresztą w stosunku do niej stanowić istotnego zarzutu, gdyż nie jest — o ile mi wiadomo — dziełem ostatnich lat). Jest w niej niewątpliwie dużo artystycznego temperamentu, rozmach, znajomość współczesnej techniki kompozytorskiej i orkiestry, ale treść muzyczna nie jest tu dość ważka, co było zresztą cechą wielu utworów i kompozytorów w pierwszym dwudziestoleciu XX wieku. Tylko najwięksi, jak np. Strawiński (którego wpływy znać u Szabelskiego) potrafili z tych braków wyjść zwycięsko. Absolutna neutralność wszystkich motywów pod względem wyrazu, migawkowe ich mijanie się, ustawiczny ruch czysto zewnętrzny — wszystko to w dzisiejszej muzyce zostało już prawie przezwyciężone. Kałka-Rowicki zadyrygował Suitę Szabelskiego doskonale. Było w niej właśnie wszystko, co się dało wydobyć z samej partytury, przede wszystkim życie i temperament.

Barbara Korytowska odniosła poważny sukces artystyczny. Ta uzdolniona pianistka rozporządza pięknym dźwiękiem, który stanowi największy bodaj atut jej gry, dobrą techniką i muzykalnością. Szkoda tylko, że wybrała tego typu kompozycje jak Koncert Paderewskiego, który pozwolił na tylko dość jednostronną ocenę jej artystycznych możliwości. Stwierdzić muszę niestety raz jeszcze — choć przy tej sposobności narażę się, podobnie jak kolega Kisielewski, na zarzut „szargania świętości", że jest to jedna z najsłabszych kompozycji w polskiej literaturze muzycznej: eklektyczna, nieszczera, pełna taniego sentymentu. Jedyną jej zaletą jest dobra faktura fortepianowa, i ona to niewątpliwie sprawia, że nasi pianiści zawsze jeszcze sięgają po ten utwór. Z dużym zainteresowaniem oczekujemy dalszych występów młodej pianistki w programie bardziej wszechstronnym, który by dał nam poznać jej możliwości w zakresie muzyki klasycznej, romantycznej i współczesnej.

Stefania Łobaczewska

A P E L DO SPOŁECZEŃSTWA

W SPRAWIE BIBLIOTEKI INSTYTUTU FRYDERYKA CHOPINA

Instytut Fryderyka Chopina w Warszawie, którego Biblioteka Chopinowska została prawie całkowicie zniszczona w działaniach wojennych, przystąpił już rok temu do wskrzeszenia zarówno Biblioteki, jak Archiwum i Zbiorów.

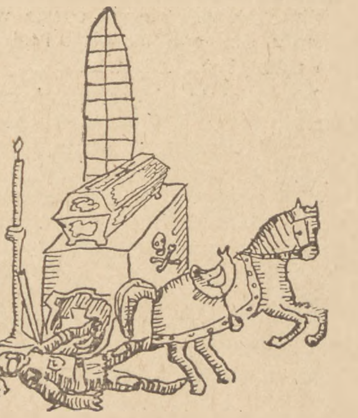
Ponieważ rekonstrukcja Biblioteki jest ze względów naukowych najpilniejszym zadaniem Istytutu Fryderyka Chopina, który potem w tworzącym się letnim studium dla muzyków w Strzyżewie musi utworzyć drugą taką biblioteke, Instytut zwraca się do społeczeństwa polskiego z gorącym apelem o poparcie jego dążeń przez dary książek, broszur, druków, grafiki itp., dotyczących Chopina, względnie o zgłaszanie takowych dla zakupu. Adres Instytutu Fryderyka Chopina: Warszawa, Zgoda 15, II p.

Z TEKI DR. PROTA SOWIZDRZAŁA

Obrazki z przeszłości

POGRZEB DOSTOJNIKA

„Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana w. kr. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki i prawdziwie podobnej ludności to miasto i potem nie widziało i może widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt senatorów, między którymi kilku biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich, w tylu gałęziach między najświetniejszymi natenczas, cóż dopiero wojska pozgromadzane, które w tamtym wieku na koronacjach tylko królów albo cudównych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepoliczone obywatelów mnóstwo z dalekich nawet województw



dla ciekawości pozgromadzane, tłumem wszystkie domy i ulice napełniło! Ojciec mój mieszkał wówczas w Stanisławowie i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego po części już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotymi frędzlami, światłem, portretem, herbami, bogatymi znakami władzy po względach położonymi przyozdobiony; od drzwi kościelnych, aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcic umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadając łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznania, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą. kiedy dla człowieka-hetmana z domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu i ten z nich kruszył kopię przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inny rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar itd. Każdy zaś, złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia niby żal po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrucali, ale udał się lepiej niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijani."

(Fr. Karpiński, „Pamiętniki")

IMIENINY W STAROPOLSKIM DWORZE

„...Około jedenastej godziny przyjechałem, już była ciżba; w dwóch albowiem izbach mieścić się musiała cała okolica. Po zwyczajnych przywitaniach, i powtórzonym wierszem i prozą powinszowaniu, szliśmy do izby jadalnej. Stół był na osób sześćdziesiąt, a nas blisko półtorasta; jak więc gdzie kto mógł, i na czym mógł, jeżeli tylko mógł, usiadł. Mnie wpakowano między dwie rogówki tak dobrze, iż mi tylko głowę było widać: wywindowałem przecież do góry rękę prawą, ale nie mogąc nią władać, a bojąc się uszkodzić galowych sukien sąsiadek moich, patrzyłem się o głodzie na niezmierną piramidę z francuskiego ciasta, która mnie zasłaniała zupełnie, a za każdym wzruszeniem stołu chwiejąc się, nabawiała strachem, iżbym w łeb nie wziął, dość sporą chorągiewką, którą gieniusz z cyfrą solenizanta na wierzchu trzymał.

Jak przyszło do owego uroczystego imienin hasła: „Cujus festum colimus", pokazał się kielich, może jeszcze od czasów Zygmuntowskich zachowany, tak wielki, tak długi, tak szeroki, iżem mniemał, że to jedynie tylko dla widoku, a zatem nasycenia ciekawości naszej przyniesiono. Gdy w niego półtorej niemałej butelki wlano, wniosłem sobie, iż to dla pokazania miary czynią; ale gdy wziąwszy go w oburącz, najpierwszy z gości do ust przysadził, i raz tylko odetchnąwszy do ostatniej kropli spełnił i wypróżnił, i nie chwiejąc się jakby drugiego czekał, na swoim miejscu spokojnie usiadł; a toż wciąż drudzy czynili, i kolej już się do mnie zbliżyła; że właśnie dla marcepanów, które przyniesiono, trzeba się było niektórym z miejsca ruszyć, wymknąłem się nieznacznie spod rogówek:wpadłem w tłum, kto inszy tymczasem może miejsce zasiadł; a ja głodny, dorwawszy się u kredensu półmiska, uspokoiłem natarczywość głodu mojego.

W zgiełku, ciżbie i hałasie, uszedłem owego wielkiego kielicha, ale pomniejszych, które się między nami wałęsały, kilka spełnić musiałem. A jak nie było spełnić? kiedy szło o dobro kraju, o przyjaźń sąsiedzką, o pomyślność Jegomości, Jejmości i godnych pociech prześwietnej familii? Kiedy w powszechnym rozrzewnieniu klękali przede mną sąsiady, a ja przed nimi? kiedy mnie zaklęto na poczciwość, kiedy już przychodziło do przymówek? a jakiś Jegomość trącając mnie w bok, niby to po przyjacielsku, raz wraz i mnie i drugim, których także w bok trącał, powtarzał: „iż kto zdrowia gospodarskiego i prześwietnej konsolacji nie wypije, jest zdrajcą, i będzie miał ze mną do czynienia". Najcięższa była sprawa, gdy mnie w owym tumulcie dopadł gospodarz dobrze już zarumieniony, a właśnie wtenczas, gdym się jak mógł bronił od dość sporego kielicha za zdrowie poczciwych ludzi: wpadł on wśród walczących, i jak zaczął mnie całować i ściskać, com nie chciał do połowy, musiałem wypić i pełno i duszkiem. „To mi to człowiek" — zawołał naówczas ten, co mnie w bok trącał, i ściskając mię serdecznie, zapłakany z serdeczności szepnął do ucha: „rozkaż co chcesz, a przysięgam Bogu, i ojcu rodzonemu nie przepuszczę". Całując go i ściskając na odwrót, dziękowałem za tak heroiczną uprzejmość i może by trzeba było nowy kielich spełnić, gdy szczęściem rozruch ław i stołków oznaczył skończenie obiadu: tłum naszą serdeczność przerwał".

(Ignacy Krasicki, „Uwagi" (Uczta))

PROMOCJA DOKTORSKA

„W drugim roku teologii mojej podnieśli Jezuici lwowscy szkoły swoje na akademię, a między innymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a świętej teologii bakałarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej procesji akademicznej, tłumni goście do kościoła jezuickiego zgromadzili się. Ja, doktór, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszczyk czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami naokoło, z pętliczkami srebrnymi na przodzie, w ręku berło wyzłacane, a na głowę (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonej i tylko kilka włosków na samym wierzchu mającej, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów, w pąsowym aksamitnym ze złotymi frędzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuici w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesję, akademik zamojski. w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamościa, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu". Jezuici strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się z kościoła wyrzucić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając,



berłem moim w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktór, także filozofii, już go był za łeb zahaczył i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici, w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymanym zwycięstwie swoim *Te Deum laudamus* kończyliśmy; przyczyną miało być tej protestacji zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiej, którym warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademia podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie szkodliwszym być miało narodowi."

(Fr. Karpiński, „Pamiętniki")

W UNIWERSYTECIE

„Do nauk filozoficznych sprowadzono z zagranicy dwóch profesorów: Zinserlinga niemca i księdza Ciampi Włocha. Przyznawano Zinserlingowi głęboką znajomość starożytności rzymskich i greckich, ale wykład jego był tak przerywany, twardy, niemiły, tak nie umiał wzbudzić zajęcia w słuchaczach, iż ci tylko uczęszczali na jego kursa, którzy musieli. Oprócz tego nieraz odzywał się tymi słowy: „Byłoby jeszcze wiele do powiedzenia w tym przedmiocie, ale ja o tyle mówię i uczę, ile mi płacą."

(F. S. Dmochowski, „Wspomnienia od 1806 do 1830 roku". Warszawa, 1858 str. 131)

podał do druku **Wacław Kubacki**

PODRÓŻ DO MOSKWY

Przeglądacz krajowej prasy w londyńskich „Wiadomościach" obywa Theates zaniepokoił się ostatnio „mea drami zapowiedzi wydawniczych" kraju. Martwi się, że nie wyszła do antologia poezji rosyjskiej, wymie zapowiedzi mającej się ukazać „Cz telniku" książki Kazimierza Wyki „M dernizm polski, jego struktura i rozwó i wreszcie pyta zaniepokojony: „Co stało?"

Na szczęście obywatel Theates s sobie umie odpowiedzieć i tu już d słownie oddajemy mu głos:

„Jest za to taki uczony, którego ks żki „Czytelnik" wydaje jedną po dr giej: po „Psychologii zwierząt" De bowskiego przyszła teraz kolej na goż autora „Psychologię małp" (tak Wiemy, choćby z ankiet „Odrodzenia jak ważne książki naukowe czekają wydawcę. Ale małpy prof. Dembc skiego mają pierwszeństwo. Prof. De bowski bowiem może sprawy wydan swoich książek dopilnować na mie scu. Pojechał on do Moskwy, gdz zajmuje się polsko-sowiecką współpra kulturalną."

Udaliśmy się do mieszkania Wyk gdzie się okazało, że proroczy Theat nie tylko wie, co się stało, lecz ró nież, co się stanie: Wyka był zajęty p kowaniem walizek. — Pan dokąd? Jadę do Moskwy. — Po co? — W m czeniu pokazał zacytowany ustęp i we tchnął: — Że też się wcześniej nie d myślíłem. A dozorca zawsze mi powt rza — czemu pan Londynu nie sł cha? — Ponieważ i ja chciałbym c wydać, zapytałem: — A gdzie w M skwie wydają te pozwolenia?

— Duraczyj pierieułok, z

jak

BEN AKIBA I GRIFFIN CZYLI TRADYCJA JEST RZECZĄ CHWALEBNĄ

„Słowo „nowy" słyszy się wszędzie. No wy wiek, nowa młodzież, nowy świa Lecz nic nowego nie ma pod słońce Nie dajcie się zwieść frazesom. Jedyn nową rzeczą, którą trzeba tworzyć, nowy i określony wysiłek do zacho nia starych wartości" — te słowa Griffina z przemówienia do młodzie cytuje „Rycerz Niepokalanej", po udzi leniu informacji o nowym cudzie Lourdes („nic nowego pod słońcem") Ach, jak to dobrze, iż wciąż żyw pamięć o mędrcach w jaskiniach, któ rzy strofowali młodzież, iżby dobry starych wartości nie próbowała przer biać na nowe.

OD KOGO ZALEŻY PRZYJĘCIE DO SZKOŁY MORSKIEJ?

W „Rycerzu Niepokalanej" (nr w stałej rubryce „Podziękowania" cz tamy: „Zębców, dnia 12. 7. 1946 Gorące podziękowanie składam Mat Boskiej Nieustającej Pomocy i Królow Różańca św. za przyjęcie mnie do szk ły morskiej. Proszę Niepokalaną Mat chnę o dalszą opiekę. Wierny Jej r cerz Ferdynand Waligóra".

jaszcz

»SZCZĘŚCIE FRANIA« W KATOWICACH



W Katowicach grane jest obecnie „Szczęście Frania" Perzyńskiego. Sztukę tę wyreżyserował E. Żytecki, dekoracje — S. Tenerowicza. Na zdjęciu: S. MICHNOWSKA (Mroczyńska) i T. ŁOMNICKI (Franio)

»REWIZOR« GOGOLA W POZNANIU



W Teatrze Polskim w Poznaniu wystawiono świetną sztukę M. W. Gogola „Rewizor". Sztuka ta, wyreżyserowana przez Karola Borowskiego, przyjęta została ży- czliwie przez publiczność i przez krytykę, która podkreśla aktualność problematyki Gogola

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata miesięczna 60 zł., kwartalna 180 zł.
M — 14 684 Złożono w Drukarni Narodowej, odbito w Pierwszej Drukarni Państwowej w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".